Nr. 41 Warszawa, dnia 2 (14) Października 1899 r. Rok XIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY. SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem).
W Warszawie: miesięcznie kop. 70. kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60. rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie. z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Duma Francyi — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Pan rządca (c. d.). p. Napoleona Roube. — ŻYCIE SPOŁECZNE: Z powodu katastrofy. - Kronika poznańska, p. ct. — Młodzież francuska i angielska, p. Waleryę Marrene-Morzkowską. — FEJLETON: Liberum veto p. Posła Prawdy. — BADANIA NAUKOWE: Filozofia: W. Lutosławski: Seelenmacht, II. p. A. Ś. — Historya, p. dr. K. J. Gorzyckiego. — LITERATURA I SZTUKA: Literatura polska, p. Turn. Przegląd teatralny. p. Andrzeja Niemojewskiego. — Notatki literackie i artystyczne. — POEZYE: Na zgorzelisku, p. Adama M-skiego. — W dali. — Kronika. — Odpowiedzi Redakcyi. - Ogłoszenia

POLITYKA.

Duma Francyi.

Nazywana „dumą Francyi" armia francuska zamanifestowała swego ducha wojennego, swoją karność na wewnątrz i sprawność na zewnątrz bezecеństwem, na które tylko zupełne zdziczenie obyczajów pozwolić jej mogło. D. 10 b. m. oficerowie pułku piechoty, rozłożonego w dep. Drôme, z oddziału konsystującego w rodzinnem mieście prezydenta Loubeta, Montélimart, opodal Rodanu, zebrani w klubie uchwalili zbiorowe splugawienie jego domu, gdzie mieszka 90-letnia matrona, jego matka, prosto z sali narad udali się na miejsce i uchwałę „w czyn" wprowadzili. Można było po tej domie Francyi jeszcze oczekiwać, że porwie kiedyś za kord i z krzykiem: „na Niemca!" rzuci się nad Ren, aby wydrzeć Alzacyę: można było przewidywać bunt zbrojny przeciwko rzeczypospolitej: ale takiego czynu nie mógł przewidzieć najbystrzejszy pesymista. Dziś tę montelimarską manifestacyę ma prawo spokojnie przyjąć tylko umysł przekonany o upadku wewnętrznym Francyi, pogardzający jej teraźniejszością, niewierzący w jej przyszłość. On jeden miał słuszność.

Manifestanci będą ukarani przez władzę; ale nie będą wytrąceni przez korporacyę, a to tylko dałoby jeszcze rękojmię uczciwości i rozsądku, wyższych nad pychę, lenistwo, znieprawienie, nad stały bunt przeciwko konstytucyi państwa i władzom narodowym przez nią ustanowionym. Taki Mercier, którego oddania pod sąd instynktownie dopominało się stronnictwo radykalne, taki Roget, który tylko dla własnego bezpieczeństwa nie spełnił w dniu 23-im lutego roku bieżącego zobowiązania zaciągniętego względem Déroulède a i Haberta; taki Cavaignac, który opierał się zapamiętale rewizyi, jako minister, a podał się do dymisyi jako skompromitowany przez fałszerstwo Henry'ego, taki Négrier, który wręcz zachęcał do buntu; i Chanoine, minister zmieciony z trybuny, i Zurlinden, i Gonse — i cały ten tłum świadków wojskowych w procesach Zoli i Dreyfusa — wszyscy oni byli uczestnikami spisku na istnienie rzeczypospolitej.

Spisek zapuścił korzenie w społeczeństwo cywilne. Antisemici, nacyonaliści, orleańczycy, bonapartyści — zmierzali do wywrotu, utrzymując ustawiczne czucie z buntowniczymi żywiołami armii. Aresztowania dokonane w końcu sierpnia odsłoniły nory spiskowe. Akt oskarżenia, odczytany w senacie d. 19 września przez prokuratora Bernarda, ukazał czynnego bezpośrednio pretendenta, ks. Filipa Orleańskiego i przygotowania tak bliskie wybuchu, że chwila aresztowań w końcu sierpnia niedaloką być musiała od wyznaczonego terminu działania. Samoistne śledztwo senatu, prowadzone przez Berengera, pogłębiło wykrytą prawdę. Zarzecznie pierwotne, że spisek nie sięgał do armii, upadło: Roget, Mercier, syn generała, w pochwyconych dokumentach występują jako uwikłani w zmowę przeciwko rzeczypospolitej występną. Ręka w rękę szedł z nimi cywilny minister wojny, Cavaignac. Obecnie sprawiedliwość przygotowawcza waha się: czy nową tę sprawę połączyć z dawną, spiskowców cywilnych z wojskowymi, czy też osądzić pierwej jedną, a potem dopiero zabrać się do drugiej. Logika przemawia za połączeniem.

Rozmiary wykrytej zmowy, przerwanych przygotowań, nie były wielkie, ale ta ich względna małość nie zmniejsza znaczenia samego ruchu jako objawu psychiki narodowej, w której zbierają się dwa momenta istnienia Francyi jako narodu i jako państwa. Szczęściem dla rzeczypospolitej było dostanie się do władzy Loubeta, oddanie rządów ludziom, którzy nie igrali z buntem, o ile wręcz z nim nie trzymali. Gdyby żył jeszcze Faure, spiskowcy dalej spokojnie podkopywali się pod fundamenta rzeczypospolitej, a oskarżające ich dowody spokojnie leżałyby w ich szufladach. Spisek był w powietrzu już za Faure'a, ale Faure dobrał sobie ludzi, którzy go wyczuwać ze wszystkiego, co dawało codzienne doświadczenie, nie chcieli. Meline wprost pobłażał i schlebiał żywiołom buntowniczym, mniemając, że ocala Francyę od radykalizmu. Droga sprawiedliwości, kroczącej teraz przeciwko armii już wyraźniej, niż w rewizyi procesu Dreyfusa, jest drogą przyszłości rzeczypospolitej. Działalność senatu da próbę trwałości: jeśli oficerowie wyjdą cało, rzeczpospolita upadnie i nic tego upadku nie powstrzyma.

Tydzień polityczny. Kroki wojenne między Transwalem a Anglią zaczęły się urzędownie we środę o godz. 5 po południu. O tej godzinie upłynął czas przez *ultimatum* boerskie z poniedziałku zostawiony Anglikom. Prawdopodobnie nazajutrz wojna zaczęła się i na samej widowni. Zaczepiającymi nietylko dyplomatycznie, ale i militarnie musieli być Boerowie. Odezwa Krugera z d. 5 b. m., ze zdaniem, że „Bóg kieruje kulami" pokazuje purytańską z XVII w. wiarę tego ludu leczącego na zaiszczenie. Anglia dzięki królowej Wiktoryi, w ostatnim okresie przedwojennym okazała umiarkowanie nielicujące z dotychczasową metodyczną krewkością Chamberlaina - Rhodes'a. Rozeszły się nawet pogłoski w przeszłym tygodniu, że królowa chce abdykować i zwołanie rady tajnej, od drugiego roku panowania dzisiejszego nie zwoływanej, łączono z tym zamiarem. Anglia pomimo olbrzymiej przewagi orężnej, nie zaniedbała zaskarbić sobie względów czyhających na łup przyjaciół: Niemcom daje Angolę portugalską i Liberyę niepodległą. Portugalii poręcza posiadłości afrykańskie wzamian za prawo przechodu przez Mozambik południowy od Delagoa; Stanom Zjedn. powierza swych poddanych. Boerowie idą w przymierzu jawnem z Oranje i utajonem z Hollendrami Przylądka. Hollandya, przestraszona, nie pozwala oficerom wyjeżdżać na ochotników i tamuje zaciągi.

W Austryi patent cesarski zamknął okres posiedzeń Rady państwa, po odroczeniu na początku roku, i zwołał ją na nowe posiedzenia na d. 18 b. m. Hr. Clary-Aldonigen stara się odwieść prawicę od ponownego wyboru Ferjancica na vice-prezydenta Izby dep. Czesi po walnej naradzie w d. 9 b. m. postanowili nie tamować obrad, wytrwać w większości, a szczegóły zostawić swym posłom- postanowienie roztropne i uczciwe.

W d. 9 b. m król Aleksander zagaił skupczynę w Niszu. Wspomniał o spisku, sądzie i karach.

W Turcyi wielki wezyr Ryfaat usuwa się z urzędu; zamordowano mu syna.

W Aglii proklamacya królowej obwieszcza wojnę Parlament zwołany na początek listopada.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POWODU KATASTROFY.

Od lat wielu starannie śledząc przyczyny katastrof kolejowych, dostrzegamy w znacznej większości jedno znamienne źródło nieszczęść: przeciążenie pracowników, czuwających na linii. Nie wiemy jeszcze, co spowodowało obecnie najświeższą katastrofę na drodze Wiedeńskiej w Rudzie Guzowskiej. W raportach powiedziano: „*z powodu* złego nastawienia zwrotnicy." Dopiero śledztwo dokładne wykryje, jaki był *powód powodu.* Wyjaśnienia wielu smutnych wypadków, w których owa nieszczęsna zwrotnica gra rolę, wykryły niejednokrotnie znużenie zwrotniczego lub jego nieobecność na stanowisku, ponieważ z braku dostatecznej obsługi musiał równocześnie pełnić jakieś inne zajęcie. Drugą kategoryą *powodów* bywa „wina maszynisty."

Istotną przyczyną nieszczęść, tj. przeciążenie pracą, roztrząsano już nieraz na gruncie urzędowym podczas zjazdów kolejowych i popierano dowodzenia faktami. Oto mamy ich garstkę pod ręką: W roku 1893 stwierdzono, że 36 wykolejeń pociągów i 72 starcia wynikły ze zbyt długich dyżurów służby, przekraczających normę dwunastu godzin. Osób zabitych i ranionych było przeszło sto, a straty kolei żelaznych wraz z wynagrodzeniem za śmierć i kalectwo wyniosły aż 500,000 rb.! W końcu r. 1893 skutkiem tych wypadków był wydany rozkaz ministra komunikacyj do zarządów kolei żelaznych, ażeby zwrócono większą uwagę na bezpieczeństwo podróżnych, które da się osiągnąć przez skrócenie dyżurów. Według obliczenia generała von Wendricha, od 3 grudnia 1893 do 10 lutego 1894 r. na kolejach rosyjskich zdarzyło się 13 nieszczęśliwych wypadków jedynie skutkiem przeciążenia pracą niższych oficyalistów. W r. 1894 okazało się, iż jeden z „winnych" oficyalistów był w chwili wypadku na służbie bez przerwy 21 godzin, drugi 23 godziny 46 minut, trzeci 24 godz., przyczem termin dyżuru wynosił *całą dobę.* W roku przeszłym zjazd lekarzy kolejowych zwrócił szczególną uwagę na przeciążenie pracą niższych oficyalistów i poruszył sprawę skrócenia dyżurów tudzież udzielenia urlopów urzędnikom.

Dotychczas jednak wszystko idzie dawnym trybem. Nic jeszcze z zabiegów nie weszło w życie. „Winni" maszyniści ponoszą doraźną karę za swoją nieuwagę, tj. łamią kości, rozbijają czaszki, a w razie wyzdrowienia muszą zasiadać na ławie oskarżonych, jako bohaterowie spraw kryminalnych. Przyjrzyjmy się tedy okolicznościom łagodzącym. Niedawno ktoś świadomy rzeczy dosadnie scharakteryzował w *Rozwoju* warunki pracy i bytu maszynisty. Musi on znać wybornie linie, na spadkach hamować pociąg, pod górę zwiększać ogień w piecu i jechać całą siłą pary. Nieraz mu dają maszynę starej konstrukcyi, o ciśnieniu 8 atmosfer, podczas gdy nowe już dochodzą do 12. Każdy maszynista przejeżdża przeciętnie w ciągu miesiąca 4,000, a w ciągu swojej służby czterdziestoletniej około dwu milionów wiorst. Ze względu na swoje ważne stanowisko jest on oplątany całą siecią przepisów, gróźb i kar. Za najmniejsze przekroczenie jest bardziej niż kto inny odpowiedzialny nietylko przed władzą kolejową, lecz i sądem, pomimo że w znacznej większości nie bywa rzeczywistym winowajcą.

„Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej — jednej z najbogatszych — maszynista klasy pierwszej, to jest najstarszy i najlepiej

3)

Napoleon Rouba.

PAN RZĄDCA

W ciągu następnej godziny przez kancelaryę gospodarczą przesunął się tłum różnobarwny i świątecznie przybrany.

— Rządca cosik markoci się — mówiły baby i dziewczęta.

Jakoż z palcem na odpowiednich nazwiskach tabeli machinalnie obliczał ilość dni i zarobek każdego i podsuwał odpowiednią kwotę, robiąc szybkie notatki ołówkiem.

Wreszcie za ostatnim drzwi się zamknęły i nikt więcej nie wchodził.

— Została tylko Franka — mruknął rządca i wyszedłszy przed ganek, zapytał o nią.

Nie było jej. Wyrzekła się na tydzień cały soli i okrasy dla siebie, matki i swego dzieciaka, żeby nie stawać do oczu po wczorajszym występku.

Rządca wręczył pieniądze jej należne polowemu z poleceniem, aby je odniósł niezwłocznie.

Potem się wstrząsnął, niby pies po niemiłej i przymusowej kąpieli i jął się spiesznie ubierać.

Gdy skończył, śmiały mu się oczy a ruchy nabierały sprężystości i ochoczej podniety. Wyszedł wreszcie przed dom w kapeluszu i ze szpicrutą w ręku, nie troszcząc się bynajmniej o losy mieszkania i ruchomości, które zresztą zostawały na oczach licznych mieszkańców zamożnego dworu.

Zwrócił w stronę lasu, ale go wnet doścignął olbrzymi parobek o barkach atlety i prześlicznej smagłej twarzy młodego chłopca.

— Proszę wielmożnego...

— Czegoż tam jeszcze? — zagadnął niecierpliwie rządca.

— A to przychodzę podziękować wielmożnemu panu za służbę.

— Zgłupiałeś, Bartczek, czy co u licha?

— Ni, panie, jeno służyć we dworze nie będę — odparł nieco zuchwale.

— Mniejsza o to; idź do dziedzica, gdyż on cię godził, a zresztą jako woźnica przy koniach cugowych tylko od niego zależysz.

— Ja byłem trzy razy i nic.

— Idź po raz czwarty.

— Ni... — zaciął się chłop.

A po chwili mówił z żalem:

— Przysedem raz, pada mi lokaj, co jaśnie pan wstaje, idę raz drugi, to on znowu je śniadanie, a za trzecim to już ten cygan-lokaj wcale nie chciał gadać, jeno wygnał mię złem słowem i śmiał mi się w zęby.

— I czemuż to rzucasz służbę?

— Ja ta, proszę wielmożnego pana, niebrałem kobity dla sądu, ni dla sprawów, jeno dla siebie.

— Więc jej zapowiedz, żeby szkody nie robiła.

— Sprałbym szelmę, ale jak przyskoczy, jak pocznie mnie poniewierać, okcz mi wszyckich włosów nie wydarła i zębisków nie wybiła.

Rządca serdecznie się uśmiał.

Bo tak skarżył się ów chłop, który jedną ręką zadawał sobie korzec pszenicy na ramiona, a ująwszy w obie garście cztery ogiery w leje, zaprzężone walił z niemi i z karocą, niby na paradę po górach, wyrwach i błotnistych groblach

— Styry najdzikse ogiery to nie jedna sprawna baba — zwykł mawiać na swoje usprawiedliwienie, kiedy mu wskazywano na czuprynę starganą lub też twarz, tę twarz o klasycznych rysach, zbyt zaczerwienioną.

To też rządca i teraz był pewny, że to rozkaz baby zmusił go do wystąpienia, że przeto wszelkie przedstawienia jego byłyby daremne.

— Dobrze, dziś jeszcze pomówię z dziedzicem, lecz będziesz tego kroku żałował.

— Sielma baba, wielmożny panie! A rzekłem jej rankiem, niecej dobrej: nie odchodź dzieciaka dla chwastu, to ci od cugantów galantą wiązkę okuniczyzny przyniosę. Parsknęła mi w ślipie, jak ten kot wściekły i poszła po gorszą mieszankę.

— Ustrzegła cię od kradzieży.

— Ale! A tera co wyszło?

No, i miał racyę Bartczek, bo jemu by kradzież uszła bezkarnie.

Ale wszystko to nużyło rządcę, który wybiegł do lasu, chcąc mieć godzinę dla

jeżdżący, otrzymuje 900 rb. rocznej pensyi i wyjeżdżone tak zwane „milowe.“ Maszynista drogi Wiedeńskiej przejeżdża przeciędowo około 4,000 wiorst miesięcznie, czyli 133 wiorsty dziennie, co bacząc na niektóre szybkochodzące pociągi, nie jest wiele. Jednakże przy zwykłych pociągach, a zwłaszcza towarowych, liczba ta będzie bardzo duża, tem więcej, że podług przepisów prawnych po dłuższej jeździe należy się maszyniście dniówka, czyli całodzienny wypoczynek. Przypuśćmy tylko, że ten wypoczynek wypada raz na dwa dni jazdy, to otrzymamy sumę, że maszynista musi przejeżdżać dziennie 200 wiorst przeciędowo, aby wyjeździł 4.000 wiorst miesięcznie. To już jest liczba poważna: dodajmy do tego czas stracony na obejrzenie parowozu przed wyruszeniem w drogę, potem na przystanki i wreszcie dłuższy postój na stacyi, na której dana maszyna przestaje być czynną. Maszynista na drodze Fabryczno-Łódzkiej otrzymuje o wiele skromniejsze wynagrodzenie, bo zaledwie dochodzące do 700 rb. Milowe różni się od przyjętego na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej tem, że jeżeli tam maszynista przejedzie 4,000 wiorst, to każda wiorsta po za 4,000 liczy mu się w „milowem“ podwójnie; tu zaś, choćby przejechał nawet 6,000 wiorst, nie mu drożej policzonem nie będzie. Tym sposobem tylko dobry maszynista łódzki i to na najlepszej maszynie, może rocznie z „milowem“ zarobić około 1,000 rubli.“

Jeżeli zarząd kolei jest bardzo oszczędny, jeżeli spekuluje nietylko na dobroci węgla, ale nawet nie zaprowadza koniecznych ulepszeń, to maszynista taki ma ciężkie warunki do zwalczenia, jednocześnie zaś znimi wzrasta niebezpieczeństwo publiczne. Na wielu jeszcze kolejach (między innemi na Łódzkiej) dotychczas nie wprowadzono hamulców parowych przy maszynie. Co gorsza — jest jeszcze mnóstwo w użyciu starych parowozów z kotłami żelaznymi, które w nowszych systemach oddawna zastąpiono stalowymi. Umysły techników, zaprzedanych wielkiemu przemysłowi i przedsiębiorstwom komunikacyjnym, wysilają się na ulepszenia wszelkiego rodzaju. Stworzono pociągi „luxowe,“ wagony, w których nie zapomniano o najdrobniejszych wygodach podróżnych bogatych, udoskonalono kuchnie i restauracye wagonowe; zapomniano tylko o maszynach, które pomimo ulepszeń wewnętrznych, zwiększających siłę i szybkość, posiadają psie budy dla maszynistów. Nie pomyślano o ścianach dokoła oszklonych, któreby zabezpieczały wzrok i cały organizm od zmian atmosferycznych.

To też ze wszystkich sfer pracowników najprędzej ulegają zupełnemu zniedołężnieniu maszyniści. Na zjazdach już podnoszono sprawę zwiększenia płacy tych ludzi i minimalnego ograniczenia godzin pracy z możliwie najdłuższą przerwą na wypoczynek. Dotychczas jednak jakoś nie słychać, ażeby te tak ważne wnioski weszły w wykonanie. Warto o tem pomyśleć jak najprędzej; warto również wprowadzić obowiązkowe wakacye dla pracowników kolejowych. Na ten warunek już przed kilku laty kładliśmy nacisk w *Prawdzie.* Przy sposobności przypominamy go tem skwapliwiej, że w roku przeszłym lekarze kolejowi na zjeździe swoim przyszli do przeświadczenia, iż urlopy powinny stanowić nie rodzaj nagrody, ale prawo, przysługujące każdemu pracownikowi. Wszystkie te kwestye powinny być możliwie najprędzej rozstrzygnięte i w czyn wprowadzone, bo chodzi tu nietylko o wielką rzeszę pracowników kolejowych, lecz o związane z warunkami ich pracy i bytu bezpieczeństwo milionów ludzi, posługujących się środkami komunikacyjnymi.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Sylwetka bar. Willamowitza, skreślona przez hakatystów. — Życie społeczne ludności polskiej w Prusiech Zachodnich. — Spółki. — Atak na prasę polską. — Armia obrońców niemczyzny. — Wykrycie „zbrodni.“ — Wydalania.

W życiu politycznem z zakresu stosunków polsko-niemieckich zdarzył się fakt doniosły. Naczelny prezes W. Ks. Poznańskiego, bar. Wilamowitz-Mellendorf, pod naciskiem intryg hakatystycznych ustąpił ze swego stanowiska. O fakcie tym napomykaliśmy już w artykule poprzednim. Obecnie wracamy do niego z powodu charakterystycznej opinii polakożerczej prasy niemieckiej. Z nazwiska był to wątpliwy Niemiec, ale przez krzyżowanie rasowe stał się prawowiernym Prusakiem i chociaż na stanowisku naczelnego prezesa trzymał się zewnętrznie złotego środka, w gruncie rzeczy jednak był wyznawcą polityki germanizacyjnej, oczywiście „łagodnej“ i bardziej „ludzkiej.“ Polaków, jako Prusak, nie lubił, ale nie starał się ich jątrzyć, lecz tak traktował, jak człowiek dobrze wychowany w salonie politycznym. To też Polacy nie mieli do niego pretensyi, nie obdarzali go nienawiścią i nie żądali od niego miłości. Ale natomiast hakatyści patrzyli na niego niechętnie i w końcu znienawidzili go za to, że nie podzielał ich polityki zbójecko-łupieżczej.

Dosadną sylwetkę tego działacza w opinii hakatystów naszkicował ich organ, *Kölnische Ztg*: „Ustąpił z areny politycznej działacz, który w ciągu ośmioletnich rządów swoich zawiódł wszelkie nadzieje, pokładane w nim przez Niemców. Gdy zajął stanowisko hr. Zedlitza, sądzono, że to jest wybraniec rządu zupełnie odpowiadający doniosłemu zadaniu, który pójdzie w ślady swego poprzednika, przynajmniej pod względem energii i ducha niemieckiego. Od chwili gdy państwo samo wzięło czynny udział w germanizacyi, zakładając komisyę kolonizacyjną, przypuszczano, że już stale będzie ono popierało niemczyznę na każdym kroku, że zatem do Księstwa

---

siebie, nieco inaczej spojrzeć w oczy tej prześlicznej naturze sielskiej, którą dotąd znał jeno z wyżyny siodła lub bryczki, ze stanowiska pysznego władcy i głupio-naiwnego jej wyzyskiwacza.

I słońce jasne, i łany zbóż falujące, i kwieciste traw kobierce stawały teraz w innej formie, bardziej podniosłej i bardziej uduchowionej. Tamto wszystko rosło i potężniało, a on malał, lecz dobrze mu było z tem uczuciem pokory i cichego zachwytu, bo razem z tem pierś jego wzbierała jakiemś ciepłem nieznanem i ożywczem.

Wcielał się myślą w ten ogrom bezbrzeżny, duszą wybiegał w dalekie horyzonty, znosząc granice zmysłowe, zapominając marne szablony, podług których to pełzał, to skakał niby pajac na sznurku.

Dobrze mu było.

Z dusznego i ciasnego deptaka wykoszlawionych stosunków społecznych i ujarzmionych popędów jednostkowych szedł w kraj fantazyi, w arcykrólestwo miłej swobody i bezwzględnej równości. Wraz z przyschłą skórą człowieka kultury zrzucał z siebie nudę, gorączkowe ubieganie się za małostkami, krople potu bez zapału i wiele goryczy bez uprzednich słodyczy przy podjęciu prób.

Miedzami pól i łąk zbliżył się do lasu, skąd witały go ponętnie ożywcze zapachy żywiczne i cieniste drożyny.

Ale i tu weszły z nim razem powaga rządcy i władza, które mu tak często życie obrzydzały.

Z pośród krzaków wnet wynurzył się gajowy z tradycyjnym sękaczem na ramieniu i układnym ukłonem służalca.

— Szkody w lesie niema?—spytał rządca.

— Nie słychać, wielmożny panie, pilnuje się...

— W tygodniu przyślę woły na paszę do lasu.

— Jałowa tu trawa, wielmożny panie.

— We dworze braknie mi jej zupełnie. Potrzebuję dwudziestu krokwi osikowych.

— Nabierze się i chojaków sposobnych na krokwie, a to dla pobyduuku lepiej wypadnie.

— Wiem o tem, lecz wydasz osikowe.

— Słucham, wielmożny panie.

— Cóż u ciebie słychać w chałupie? Chłopiec wyzdrowiał?

— Dopadkiem jeno go widzę, świt mię do lasu wygania, a w nocy również nie znam wczasu, ni spokoju: musi zmarnuje się chłopaczysko, choć mu tam baba pochlebia, niby prosiakowi jakiemu.

— Czy spełniacie rozkazy doktora?

— Zmogliśmy się na one leki. ale skutku nie masz nijakiego.

— Więc przywieź chłopca do dworu, tam będę miał go na oku i upilnuję przed lekami waszych bab i owczarzy.

Gajowy się stropił.

— Markotno nam będzie, wielmożny panie, dać chłopaka z chałupy, choćby i do dworu.

— Ale tam on zdrowie odzyska—probował zrazu zwalczyć opór wyraźny, ale się wnet przekonał, że to praca próżna.

— Idźże teraz do chałupy, bo w dzień i przy święcie szkody tu być nie może — rzekł jeszcze na odchodnem.

Gajowy skłonił się i znikł. Czasem fornale, posłani do lasu, szukali go całemi godzinami, ale dziedzica i rządcę on sam stale witał na skraju lasu.

Rządca go też nie lubił za taką gorliwość, ale dziedzic chlubił się nim na całą okolicę.

Las w jednej części obejmował niedawną porębę, okrytą krzakami leszczyny i brzeziny, w dwóch zaś pozostałych był okryty wcale ładnym, lubo dość rzadkim drzewostanem.

Czystość tu panowała, niby w parku.

Liczna służba warklańska używała na opał najlichszych gałązek, które składano w kupy podług pewnej miary i rozwożono co miesiąc.

To też ścieżki leśne można było przebywać bez szmeru, niby stąpając po szmaragdowym aksamicie, a oko daleko sięgało w głąb lasu przez szeregi równych, cienkich pni.

Raz i drugi zając kicnął na ścieżce, poruszył słuchami, groźnie wąsy nastroszył i szedł rączo dalej w las.

Ptactwo zamilkło w południowym znoju, a cisza zawisła nad lasem, lecz cisza wolna od grozy, jakaś kojąca i wzywająca do spoczynku.

Młodzian, leżąc na trawie, pogrążył się w głęboką zadumę. Jak on strasznie nienawidził tej swojej liberyi rządcowskiej! Oto już od pół roku ją nosi i cały jest

przysyłać będzie urzędników, przerastających wysoko działaczów przeciętnych, że z całą świadomością przeciwdziałać oni będą polonizacyi kresów wschodnich. Myślano właśnie, że baron Willamowitz będzie uosobieniem i wyrazicielem takich dążności. Rozczarowano się! Okres jego rządów w W. Ks. Poznańskiem był czasem zmarnowanym. Wszystko, co Niemcy zdołali przedsięwziąć, uczynili to przeciwko niemu, albo też wymogli na nim za pomocą najsurowszych rozkazów rządu centralnego.

Pan Willamowitz — mówi w dalszym ciągu *Kölnische Ztng* — w jakiejś innej prowincyi i w innych czasach mógłby zapewne być odpowiednim na stanowisku prezesa naczelnego; ale dla Księstwa stanowczo był niestosownym. Jest to człowiek, który mógłby bardzo dobrze sprawować rządy w sferach polityki spokojnej, bez wzruszenia i gorączki. Usposobienie jego nie zgadzało się wcale z warunkami stanowiska, więc dał się porwać prądowi polityki chwiejnej. Skutkiem tego faworyzował to Polaków, to Niemców; nie mógł się zdobyć ani na energię, ani inicyatywę, ani na siłę woli.

Cichy sen — to ideał jego działalności. Kiedy za czasów Capriviego usiłowano pozyskać Polaków dla polityki czysto niemieckiej, baron Willamowitz przystał na to z niekłamaną radością. To właśnie organ hakatystów nazywa „polskim sentymentem“. Podejrzenia co do uczuć tego działacza względem Polaków wzrosły tem bardziej, że już dawniej Bismarck z powodu herbu Willamowitzów nazywał go „szlachcicem pół-polskim“. Mając takiego działacza niedogodnego, hakatyści użyli wszelkich środków, ażeby go wysadzić z siodła i odebrać mu dzielnego rumaka politycznego, którego dosiadał. Jakoż mozolną swą pracę uwieńczyli pomyślnym skutkiem i dziś święcą tryumf.

Czy Polacy dużo na tem ucierpieli, że zabrakło im bar. Willamowitza? — Kto wie, może nawet zyskali, bo jak wiadomo, w społeczeństwie naszem dużo jest naiwnych, prostodusznych, których można „przyhołubić“ lekkiem głaskaniem i tym sposobem znieczulić ich wrażliwość na gwałty i krzywdy. Obecnie jest przynajmniej wiadomo, że ustala polityka głaskania, że trzeba być czujnym i odpornym.

Mieliśmy już tysiączne dowody, że ucisk nie złamie żywotności plemiennej. I obecnie mamy do zanotowania fakty wymowne. W Prusiech Zachodnich, gdzie nacisk pod wielu względami jest surowszy i gwałtowniejszy, ludność polska rozwija się i wzmacnia. Ostatni spis wykazał w tej dzielnicy 766,380 katolików i 727,124 protestantów. Biorąc pod uwagę tę okoliczność, że katolikami są tam prawie wyłącznie Polacy, przyjdziemy łatwo do wniosku, iż połowę ludności Prus Zachodnich stanowi ludność polska. Jest to stosunek pocieszający, jeżeli zważymy, że przed trzydziestu laty Polacy stanowili tam zaledwie trzecią część ogółu ludności. Najwięcej jest Polaków w powiatach: Chojnickim i Tucholskim (78,1%), Kościerzyńskim i Starogradzkim (76,6%), Kartuskim i Wejherowskim (74,9%), Świeckim (57,6%), Toruńskim i Chełmińskim (54,5%).

Pod względem umysłowym objawy są jeszcze pomyślniejsze. Do r. 1848 nie było w Prusiech Zachodnich ani jednej drukarni polskiej, ani jednej gazety. Dzisiaj zaś mamy tam już 9 drukarni, dwie gazety codzienne, cztery wychodzące trzy razy tygodniowo, a nadto kilka tygodników. Największem powodzeniem cieszy się *Gazeta Grudziądzka* (7,000 abonentów). Przed czterdziestu laty w Prusiech Zachodnich było sześciu lekarzy i tylko dwu adwokatów: obecnie lekarzy jest już sześćdziesięciu, a adwokatów przeszło dwudziestu. Prócz tego jest kilkanaście aptek polskich. W innych zakresach inteligencya i życie umysłowe również się rozwija. Od r. 1875 istnieje „Towarzystwo przyjaciół nauk“ (w Toruniu), które obecnie liczy 226 członków (księży, lekarzy, techników, inżenierów, pedagogów, adwokatów itd.). Powstały także i rozwijają się pomyślnie wszelkie inne instytucye społeczne i ekonomiczne. Tak np. w miastach i wsiach Prus Zachodnich obecnie jest 34 polskich stowarzyszeń kredytowych, liczących przeszło 10,000 członków, z kapitałem udziałowym półtora miliona marek i depozytami w wysokości przeszło pięć milionów marek. Instytucye te wzrosły i wzmocniły się w ciągu ostatniego 15-lecia. Ludność polska ogniskuje się przeważnie we wsiach, mniej w miastach. Z miast, liczących przeszło 10,000 mieszkańców, Polacy stanowią: w Chełmnie prawie połowę ludności, w Grudziądzu $^1/_3$, w Toruniu $^2/_5$, w Chojnicach $^1/_4$, w Tczewie $^1/_5$. W Gdańsku mieszka około 10,000 Polaków; w innych miastach — zbyt już mała liczba, niknąca w fali germańskiej.

Skoro mowa o ogniskach i instytucyach polskich, musimy chociaż pobieżny zrobić przegląd w W. Ks. Poznańskiem. W tej chwili mamy na uwadze spółki zarobkowe systemu Schultzego z Delitsch i Reiffeisena. Są to związki spożywcze, zawodowe i kredytowe. Te ostatnie szczególnie są rozpowszechnione, zarówno w Poznańskiem, jak w Prusiech Zachodnich i oddają niemałe usługi polskiej ludności włościańskiej. Na czele tych spółek polskich, połączonych w osobny związek, stoi patronat (patron ks. prałat Wawrzyniak, wicepatron dr. Rzepnikowski z Lubawy i sześciu członków). Obowiązkiem jego jest ścisłe kontrolowanie działalności spółek istniejących, zawiązywanie nowych, zwoływanie zjazdów itd. Na wiecu tegorocznym poruszono dość żywo sprawy rozwoju tych drobnych ognisk. Ogółem 114 spółek takich posiada dziś 5,751,000 marek kapitału zakładowego. Łącznie zaś z innemi pozyczkami—35,000,000 marek, używanych przeważnie na udzielanie drobnego kredytu włościanom i rzemieślnikom. Jak głosi sprawozdanie, wszystkich członków było 42,000, w tej liczbie 20,000, a więc prawie połowa włościan.

Oczywiście taki rozwój instytucyj ekonomicznych i społecznych jest przedmiotem nietylko irytacyi, lecz i napaści hakatystów. Oddali oni je pod stały nadzór obywatelsko-policyjny, denuncyują jak mogą przy lada sposobności.

Po drobnych podjazdach w różnych kierunkach na polu rozwoju i życia polskości nareszcie pojawiła się cała armia, która pod wodzą organu ministeryalnego, *Berliner Corresp.*, wypowiedziała wojnę prasie polskiej: na czele zaś jej pozycyę odporną zajął tym razem *Dziennik Poznański*. Oto jego pociski, rzucone na przeciwnika:

„Nowy minister spraw wewnętrznych, bar. Rheinbaben, nie miał jeszcze sposobności popisać się publicznie swemi zdolnościami; za to wydawana przez jego wy-

---

przez nią i w niej. Sto rodzin służby i włościan nawet go nie zna z imienia i nazwiska, dla nich jest to „pan rządca“ lub „wielmożny pan“ w oczy, a za oczy: hycel, powsinoga lub coś w tym guście. Nawet proboszcz miejscowy, aptekarz i naczelnik poczty w miasteczku patrzą nań podobnie, zaiteresowani czy to sążniem drzewa na opał, czy też zrazem siana dla krów. Z ziemian wszyscy się doń mile uśmiechają, najczęściej go nazywają „kochanym panem“ i mówią o jego dziwnej sprężystości i energii. I dla nich jest on tylko rządcą warklańskim.

W wyborze stosunków obowiązywały go ścisłe sympatye i niechęci dziedzica. Ów dziedzic nim się wyręczał wobec gminu, nie dając mu oczywiście swobody ruchów, i poglądów: on również go wspierał dłonią wspaniałomyślną w tych stosunkach wysokich. I tu i tam, wszędzie zresztą był rządcą i zawsze tylko rządcą warklańskim.

Nawet Żydzi w miasteczku narzucali mu swój kredyt, nie pytając go o nazwisko; dla nich były dostatecznemi wiadomości, zaczerpnięte od Wincentego, siedzącego na koźle rządcowskiej bryczki.

Niechże to wszystko raz dyabli porwą!

Zresztą miał także chwile pogodne!

Cieszyła go każda nowa książka, rzewnością poiła bezmierną piosnka usłyszana lub rzadkie przykłady przeczystej dobroci ludzkiej zapadały w duszę głęboko.

Nikt oczywiście nie znał tych skromnych skarbów zbieracza, a najmniej — dziedzic Warklan. Z nim albo rozumieli się zupełnie i wtedy zwykle młodzian uczuwał jakiś przybytek w woreczku, albo też nie rozumieli się wcale i lody podbiegunowe dzieliły ich na czas jakiś.

I zdało mu się czasem, że z tymi lodami mu lepiej, niżli z tem rubłodajnem zadowoleniem. To znowu śmiał się, niby widz obojętny, patrząc na scenę.

Lecz czas już był wielki pospieszyć na okólnik gospodarski.

Wnet, niby na to hasło, ciężkie kroki i pomieszane głosy rozległy się w pobliżu, a wkrótce potem na ścieżkę wkroczył gorliwy gajowy, popychając przed sobą wysebłą staruszkę z wiązką chrustu w zapasce.

— W szkodzie ją złapałem, wielmożny panie — zaraportował służbista.

Starowina łypnęła zaczerwienionemi powiekami i stała bezradnie wobec rządcy, kłując go w oczy strzępiastą spódnicą i wątłą koszuliną, co stanowiło cały jej strój.

— To nawet w dzień świąteczny kradniesz? — badał młodzieniec surowo.

— Kiejżebym, panie, mogła inaczej, kiedy już nie wydolę z młodymi?—odparła smutno, lecz spokojnie.

Poważny gajowy skręcił się, niby ukąszony przez węża.

— Gadaj, coś za jedna, dziadówko!

— Nie trzęście mnie! — użalała się starowina, chyląc się pod naciskiem dłoni gajowego.

Z kolei rządca stanął bezradny. Dałby chętnie ze trzy ruble, gdyby starowina znikła kędyś, niby duch.

— Czy znasz nasze przepisy leśne? — spytał, ot tak sobie, aby coś powiedzieć.

— Ni, panie, przyszłam tu raz pierwszy.

— Zapłacisz fantowe i szkodę po potrójnej taksie — nauczał gajowy.

Ale rządca spojrzeniem nakazał mu milczenie.

— Nie mam grosiczka przy duszy— biadała starowina — w chacie za szosą bieda jak się patrzy, bo stary mój polega już ze sześć tygodni..

— Zabieraj swoją zapaskę i spiesz do chorego, a tu nie zaglądaj — postanowił rządca.

Lecz wyschła kobiecina spojrzała żałośnie na przygotowaną wiązkę drzewa i stała nieruchomo.

Rządca sięgnął do woreczka.

— Nie mogę ci robić podarków z cudzego lasu, ale masz tu trzydzieści kopiejek i kup sobie drzewa — rzekł, spiesznie odchodząc i skinieniem powołując za sobą gajowego.

— Chytry podlec! Niby to użalił się nade mną, a pownikiem kiej przywarowali oba za krzakiem— mruknęła babina, chyłkiem uchodząc z lasu.

— Nie, tylko musi źle ma w głowie! — zadecydował gajowy, tracąc z oczu szybko posuwającego się śród pól rządcę.

(C. d. n.).



dział, a założona przez b. ministra Kollera *Berl. Correspondenz* odznacza się obecnie nadzwyczajną ruchliwością nietylko w walce przeciw „Związkowi rolników,“ jego prasie i przeciwnikom projektu kanałowego. I prasie polskiej już się oberwało. Z powodu artykułu *Gazety Gdańskiej*, która z okazyi ostatniego festynu sedańskiego ganiła Polaków, udział w nim biorących, i wzywała ich do wystąpienia z towarzystw wojackich, jako przyczyniających się w wielkiej mierze do dzieła germanizacyi — wystąpił organ ministra Rheinbabena z gwałtowną filipiką przeciw całej prasie polskiej. Zarzuca jej „dziką hecę narodowościową“ i powiada w końcu: „Zwalczanie tej hecy i coraz większych wybryków polskiej propagandy w dziedzinie narodowej, poczytuje rząd królewski za obowiązek, którego wypełnienie ma służyć jego polityce (anti-) polskiej. Nienawistne wycieczki i oszczercze denuncyacye polskiej prasy podszczuwającej (Hetzpresse!) zdolne są tylko niezbicie udowodnić uprawnienie i konieczność tej polityki.

Trochę to za ostry nabój z powodu jednego luźnego głosu polskiego pisma. Nowy minister spraw wewnętrznych zna stosunki nasze tylko bardzo niedokładnie. Nie urzędował w Księstwie, tylko od czasu do czasu przyjeżdżał do Poznania na posiedzenia komisyi kolonizacyjnej, jako radca referujący ministeryum, nie pamiętamy jeszcze, czy finansów, czy spraw wewnętrznych. Gdyby znał dokładnie odnośne stosunki, nie byłby zaraz z jednego sporadycznego głosu doszedł do tak dalekich wniosków. Owa „heca“ i „wybryki polskiej propagandy w dziedzinie narodowej“ istnieją tylko w fantazyi hakatystów i ich prasy, oni widmem polskiem hypnotyzują nieświadomą stosunków opinię niemiecką. Wielka szkoda, że mężowie, powołani na najwyższe odpowiedzialne stanowiska, również ulegają tej hypnozie. która mąci im trzeźwość sądu. Sądzimy, że jeżeli nowy minister głębiej wniknie w stosunki tutejsze, przyjdzie do przekonania, że owa heca i propaganda polska, zaczepnie rzekomo występująca przeciw niemczyźnie, jest czczym wymysłem i że jego obecne groźby są zupełnie nie na miejscu. Naturalnie nie powinien czerpać swych informacyj o nas z *Pos. Ztg.*, której obecny „liberalny“ redaktor umyślnie został sprowadzony z Berlina dla uprawiania polityki antipolskiej i który, nie mogąc sobie w ciągu jednego roku wyrobić należytego sądu o nas, niewolniczo także klepie hakatystyczne paciorki, jak to czyni w dzisiejszym numerze, wyrażając radość z powody pogróżek *Berl. Corr.*, które uspakajają jego obawy, że najnowsze zmiany w rządzie mogłyby sprowadzić także zmianę kursu (anti-) polskiego. Na „wybryki“ prasy polskiej są prokuratorye i sądy; te tak gorliwie spełniają swój obowiązek, że wytaczają np. jednemu jodynemu pismu aż 7 procesów, z których 4 trzeba było umorzyć, w 2 uwolnić redaktora, a tylko w jednym można go było zasądzić. Możeby minister Rheinbaben zechciał także dokładnie przestudyować akta ostatniego procesu prasowego w Toruniu, a przekonałby się także, jak to prokuratorzy z lekkiem sercem czynią ciężkie zarzuty, których nie mogą udowodnić. Nabrałby wtedy może innego wyobrażenia o owej polskiej „Hetzpresse.“ Niech się postara o dokładne sprawozdania, ale bezstronne.“

Ze słów tych wymownie i charakterystycznie się zarysowywa cała sprawa. Atak *Berl. Corresp.* tę ma przynajmniej zaletę, że jest otwarty, a zatem — pouczający. Wiemy przynajmniej, czego mamy oczekiwać i czego się trzymać.

Mają tedy hakatyści pomoc urzędową, pomimo, że sami już stanowią armię potężną i liczną. Tak zwane Towarzystwo kresów wschodnich liczy w chwili obecnej 21,500 członków, Związek wszechniemiecki 19,464, Towarzystwo kolonialne 90,036, Związek szkolny ogólny niemiecki 29,309, Towarzystwo językowe 14,897, Towarzystwo marynarskie 43,000. Pomijamy wiele innych, pomniejszych. Wszystkich zadaniem jest obrona germanizacyi, a raczej ucisk ludności nie-germańskiej. Nienawiść, w tak licznych sercach pielęgnowana, musi być potężna i trwała, owoce zaś jej widzimy na każdym kroku. Oto np. napadnięto znienacka na polsko - katolickie Towarzystwo mężów i młodzieńców w Załężu (na Górnym Szląsku). Z polecenia prokuratoryi odbyto rewizyę u sekretarza Towarzystwa, robotnika Sapy i znaleziono *corpus delicti*: 68 polskich książek, straszne dowody zbrodni, które odesłano do prokuratoryi!

Wszelkie prześladowania są dziś zjawiskiem powszedniem. Ulegają one tylko pewnym wahaniom. Obecnie znowu się wzmogło wydalanie Polaków, obcych poddanych. Tak np. z Bytomia wydalono robotnika, Tomasza Operę, wraz z czworgiem drobnych dzieci. Ponieważ nie miał o czem wyjechać, więc na zaspokojenie kosztów podróży przymusowo sprzedano jego dobytek! Drugą ofiarą gwałtu takiego stała się nauczycielka, panna Norone. Zarówno ona, jak i robotnik, są poddanymi rosyjskimi.

et.

MŁODZIEŻ FRANCUSKA I ANGIELSKA.

I.

Kwestyo szkół klasycznych, egzaminów, przeciążenia nauką, sposobu wykładów, kwestye pierwszorzędne w pedagogice i następstwach, jakie wywołują, weszły teraz we Francyi na porządek dzienny. Garstka ludzi młodych, bystrych, energicznych, toczy walkę z rutyną, ma odwagę rzucić prawdę w oczy swemu społeczeństwu i przeciwstawia skarlałym fizycznie i moralnie Francuzom dzielną, żywotną, przedsiębiorczą rasę anglo-saksońską. Porównanie nastręcza się na każdem polu. Przemysł, handel, sztuka, wiedza angielska szybkim krokiem wyprzedzają francuską, a charakter narodowy uległ tak wielkiemu obniżeniu, że wprost zagraża bytowi państwa, statystyka zaś stwierdza, iż pomimo bogactwa kraju najmniejszy jest tam przyrost ludności. Przytem kolonizacya nigdzie nie wydaje dobrych owoców, kiedy przeciwnie kolonie angielskie są wszędzie w stanie kwitnącym i rozprzestrzeniają się z każdym rokiem.

Na te ujemne strony swego społeczeństwa zwraca uwagę Edmund Desmolins, który w kilku książkach, „Les Français d'aujour d'hui,“ „L'éducation nouvelle,“ „A quoi tient la superierité des Anglo-Saxons“ — zastanawia się głęboko nad smutnym stanem ojczyzny i dochodzi do przekonania, iż głównym powodem jej upadku jest systemat szkolny, coraz mniej odpowiedni wymaganiom społeczeństw nowożytnych, który w rutynicznej Francyi od czasów Napoleona I nie uległ prawie żadnej zmianie.

Każdy kraj — mówi autor — wedle swych potrzeb wytwarza sobie szkolnictwo i tak było we Francyi przy kształtowaniu się społeczeństwa po wielkiej rewolucyi. Napoleon chciał mieć żołnierzy, albo też ludzi, którzyby odgrywali rolę kółeczek w olbrzymiej machinie społecznej, scentralizowanej w Paryżu i stosownie do tego typ szkoły przypomina koszary i dąży do pozbawienia młodzieży wszelkiej inicyatywy. Najlepszym bowiem żołnierzem i urzędnikiem jest ten, który nie myśli i poprzestaje na roli biernego narzędzia. Umysłowość zaś jednych i drugich powinna być o ile możności ujednostajniona. Taki rezultat otrzymuje się za pomocą systematu szkolnego, opartego na studyach klasycznych i egzaminach, w internatach, w których młodzież poddana jest karności niemal wojskowej, a przytem sama metoda wykładów abstrakcyjna i dogmatyczna, zakuwa umysł, zamiast go rozwijać. Systemat taki nie wymaga od ucznia żadnej inicyatywy, przyzwyczaja go do oglądania się na drugich, do czynienia zawsze tego samego, co inni, uczy opierać się na gromadzie, rachować na nią, nie zaś na samego siebie.

Fakt ten stwierdzony jest we Francyi, gdzie ogół młodzieży porzuca zawody ojcowskie, rolnictwo, rękodzieła itp., gdyż w szkołach nabrał do nich wstrętu, a natomiast gromadnie ciśnie się do urzędów.

Pomimo ciągłych zmian formy rządu, właściwy system centralizacyjny pozostał nietknięty, a liczba urzędników wzrosła, zamiast się zmniejszyć, jednakże kandydatów na każde wakujące miejsce jest taki nadmiar, iż nieraz lata schodzą na daremnych usiłowaniach, na szukaniu protekcyi, zanim się otrzyma jakąś posadę. Wpływa to na obniżenie charakterów, wyrabia samą siłą rzeczy serwilizm, gdyż protekcyi nie otrzymuje się zazwyczaj bez ustępstw moralnych. Ogół urzędników ma byt bardzo skromny i nie może marzyć o karyerze, ale za to bez wysiłków rachuje na spokojną przyszłość i zadawala się rolą maszyny, funkcyonującej przez pewną ilość czasu z regularnością dobrze nakręconego zegarka.

Ci tylko z pomiędzy młodzieży, którzy nie zdołali zdać egzaminów, zwracają się do zawodów dających więcej życia i swobody, ale wymagających przedsiębiorczości i inicyatywy.

Czy przynajmniej Francya zyskuje na podniesieniu poziomu umysłowego ogółu to, co traci na zaniku tych przymiotów? Desmolins odpowiada na to przecząco, a zresztą znana jest powszechnie ignorancya Francuzów względem wszystkiego, co przechodzi granice ich kraju. Przytem nadmiar wykładanych przedmiotów, ich abstrakcyjność sprawia, iż uczniowie uczą się zwykle tylko tyle, ile potrzeba do zdania egzaminu, bo nauka, nieprzystosowana w niczem do życia, jest sposobem zdobycia stopnia, niczem więcej, a niepotrzebny balast wyrzucany bywa następnie czem prędzej z pamięci. W całem też wykształceniu chodziło głównie o wyrobienie tej jednej zdolności. A że tak nadmierne rozwinięcie w pewnym kierunku odbywa się z konieczności kosztem innych, inicyatywa znika zwykle tem zupełniej, im osobnik poddawany jest forsowniejszemu i dłuższemu tresowaniu pamięci przy egzaminach, czyli że im wyższy stopień naukowy, tem mniejsza szansa wyższości umysłowej.

Z obniżeniem inicyatywy indywidualnej idzie zwykle w parze osłabienie poczucia własnej godności i charakteru. Kto przyszłość swoją opiera na innych, musi się do tych innych naginać i od nich odbierać hasła, a zatem zatraca własne przekonania.

Upadek charakterów dzisiejszej Francyi jest faktem ujawniającym się dobitnie w historyi współczesnej; zapewne przyczynia się do tego szkolnictwo, możnaby jednak znaleźć jeszcze inne przyczyny tego zjawiska.

Według Desmolinsa, szkolnictwo angielskie najlepiej spełnia swoje zadanie: przygotowania przyszłego człowieka do życia i walk, jakie go w niem czekają, daje on więc szczegółowy opis wzorowej szkoły w Abbotsholm, założonej przez znakomitego pedagoga, Reddie.

W dawniejszym ustroju społecznym jednostka opierała się na grupie, do której należała, czy to była rodzina, pokolenie, klan, władza rządząca i z tej zasady wy-

pływa system szkolny francuski, uświęcony tradycyą klasyczną. Rasa anglo-saska okazywała zawsze dążenie do indywidualizmu, jednostka szukała punktu oparcia w samej sobie. Jest to idea przyszłości, gdyż z rozwojem kultury jednostka nabiera coraz większego znaczenia i więcej się wyodrębnia. Powstaje stąd rozdźwięk pomiędzy nawyknieniami wyrobionemi przez lata szkolne tam, gdzie one odpowiadają dawnemu typowi społecznemu a potrzebami występującemi coraz wyraźniej. Desmolins twierdzi, iż doświadcza tego ciągle sam na sobie, bo umysł jego uznaje potrzebę inicyatywy i tworzy zamiary, których jednak organizm, mający wprost odmienne nawyknienia, wykonać nie jest w stanie. Co do szkolnictwa angielskiego, to wiemy skądinąd, że tam istnieje rutyna i wiele instytucyj pedagogicznych, rządzonych bardzo przestarzałemi ideami, ale co chwila, dzięki usiłowaniom prywatnym, powstają nowe, których zadaniem jest usuwać dawne braki i tworzyć szkoły odpowiednie nowym pojęciom i potrzebom.

Jest to znowu dowód inicyatywy i energii rasy anglo-saskiej, która każdą ideę zaraz w czyn wciela. Zadaniem tych nowych szkół jest wyrobić jednostki zdrowe fizycznie i moralnie, zdolne dać sobie radę w rozmaitych okolicznościach życia; nauka więc w nich ma być przedewszystkiem praktyczna, nauczyciele nie zadawalają się słowami, nie poprzestają na nauce pamięciowej, chcą, ażeby uczniowie zrozumieli dobrze jej znaczenie, przyswoili sobie jej istotę. Szkoła zwraca niezmierną uwagę na kształcenie charakteru. Jest to internat, w którym uczniów bywa najwyżej pięćdziesięciu, szkoła niczem nie przypomina koszar, wzoruje się na domu rodzinnym. Kierownik dobrał sobie nauczycieli, od których oprócz znajomości wykładanego przedmiotu wymaga nieposzlakowanego charakteru, wykwintnego obejścia i przymiotów towarzyskich. Unikają tu wszelkich odznaczeń i nagród, nawet współzawodnictwa, gdyż to wyrabia często zawiść, a nauka sama przez się być powinna nagrodą dla tych, którzy ją posiadają. Unikają też przeciążenia, gdyż to jest nietylko szkodliwe dla zdrowia, ale najzupełniej chybia celu, powodując nieraz wstręt do nauki.

W szkole p. Reddie praca umysłowa zajmuje 4—5 godzin dziennie, przez resztę czasu uczniowie oddają się rozmaitym pracom w ogrodzie, polu, warsztatach rzemieślniczych, ćwiczeniom ciała, grom gimnastycznym, muzyce, rozmowie. Śpią długo, odżywiani są dobrze i wychodzą z Abbotsholmu rzeźcy, silni, uzdolnieni do zajęć praktycznych, z doskonałą znajomością języka francuskiego i niemieckiego, bo te są potrzebne w podróży i handlu. Przedsiębiorą zwykle coś na własną rękę, zamiast wtłaczać się w ciasne ramy życia biurowego. Przyzwyczajonym do swobody, ruchu, różnolitości zajęć, uśmiecha się inna przyszłość, pragną żyć, nie zaś wegetować bez przyszłości. Przytem ponieważ sami uczyli się wielu rzemiosł, zatracili śmieszny przesąd co do większej lub mniejszej godności niektórych, umieją pokierować się w dalszem życiu, a jeśli spotkają zawód, potrafią zwrócić się w inną stronę i skorzystać z własnego doświadczenia. Rachując tylko na siebie, zajęta wyrobieniem sobie właściwego położenia, młodzież anglo-saska mniej od francuskiej ulega pesymizmowi.

Desmolins kładzie więc na karb szkół klasycznych większą część nieszczęść i zaburzeń trapiących dzisiejsze pokolenie.

Trzeba jednak przyznać, że głos jego nie jest odosobniony; poparło go wielu pierwszorzędnych publicystów francuskich a pomiędzy nimi Juliusz Lemaître. Ale i w dawniejszej literaturze spotyka się autorów, którzy poruszali te same kwestye, przemawiali w tym samym duchu, tylko że głosu ich nie słuchano.

Przeciwko nadmiarowi ludzi, którzy w stopniu naukowym szukali chleba, przemawiali niejednokrotnie pierwszorzędni powieściopisarze. Dowcipny Alfons Karr w powieści: „Un homme fort en thème," przedstawił nadętą miernotę z ogromnemi pretensyami do społeczeństwa, która dzięki stopniowi naukowemu wyobraża sobie, że ma do wszystkiego prawo i żywi ciężki żal, iż nie jest ani ocenioną, ani wynagrodzoną według swych marzeń.

Karr także przed blizko pół wiekiem kładł nacisk, jak Desmolins, na nadprodukcyę w jednym kierunku, gdy równocześnie brak uzdolnionych technologów, mechaników, rolników itp.

„Le soutien de la famille," ostatnia powieść Alfonsa Daudeta, dotyka tejże samej rany społecznej. Z dwóch braci starszy, który ma być podporą rodziny, otrzymuje kosztowne wykształcenie, gdy młodszy zostawiony jest własnym siłom. On to spełnia zadanie starszego, który nie może sobie znaleźć odpowiedniej posady i staje się ciężarem dla rodziny, którą miał wesprzeć.

Świeżo wreszcie Estamier w „Le ferment" przedstawia rozpaczliwą walkę o byt, jaką z ujmą swego charakteru staczа grupa młodych ludzi wyrwana ze swego właściwego środowiska, kosztem ofiar rodziny. Taką samą jest treść powieści Mauryccgo Barres'a pod wymownym tytułem „Les déracinés."

Źle musi być istotne we Francyi, skoro je obwieszcza tyle głosów. Czy wszakże tylko szkoły winić o nie należy.

Walerya Marrene-Morzkowska.



LIBERUM VETO.



Potrzebna siła.

Niewiele teoryj zrodziło tyle niedorzeczności i wyrządziło tyle szkód, co teorya, twierdząca, że człowiek może chcieć, jak mu ktoś doradzi lub nakaże. Żywe i niezmiernie różnorodne organizacye, uwarunkowane w swej woli szczególnemi właściwościami i posiadające osobną prawidłowość, uznane zostały za zupełnie do siebie podobne, według jednakiego wzoru urobione mechanizmy, które wszędzie i zawsze można poruszać tą samą siłą i w tym samym kierunku. Przedstawiwszy alkoholikowi wszystkie okropne skutki pijaństwa, dziwimy się bardzo, że on natychmiast nie porzucił wódki i nie polubił wstrzemięźliwości, lecz w dalszym ciągu oddał się nałogowi, jak gdyby naszego kazania nigdy nie słyszał. Tak samo nie możemy pojąć młodych dziewcząt, które pomimo uświadomienia im groźnych następstw romansu z uwodzicielami, nie cofają się z pochyłej drogi. W sądach historycznych nieraz karcimy narody za to, że nie usłuchały mądrych wskazówek jednego polityka, lecz głupich drugiego. Co to znaczy? Znaczy to, że dowody rozumowe nie zawsze mogą pokierować wolą i że w przytoczonych oraz w innych wypadkach nie znamy psychologii istot, na które oddziałać pragniemy.

Znajomość ta jest niezbędną wszystkim, którzy z jakiegokolwiek stanowiska chcą oddziałać na większe masy ludzkie. My literaci publicyści, dziennikarze spełniamy pomekąd względem ogółu rolę nóg, służących malarzom bez rąk do trzymania pędzla. Bo jakichże nie udzielamy przestróg, nie załatwiamy spraw i nie wskazujemy dróg! Stanowimy nieustające konsylium od wszelkich chorób społecznych, nieustającą radę pedagogiczną, kontrolę moralności, biuro wywiadowcze i doradcze w kwestyach ekonomicznych i t. d. Zdarza nam się przytem bardzo często — i to najrozumniejszym, najbardziej wpływowym— że my komenderujemy na lewo, a społeczeństwo idzie na prawo, my mu zalecamy białe, a on wybiera czarne. Zawiedzeni — sprawdzamy słuszność naszego punktu widzenia, wartość naszych zasad i argumentacyi — wszystko jest w porządku, nie wykrywamy żadnego błędu, a jednak my do Sasa a ogół do lasa. Z mnóstwa doświadczeń tego rodzaju chcę dziś podnieść to, które może najwięcej sprawia nam zawodów.

Oddawna ustaliliśmy i powszechnie przyznali fakt, że nam przez całe życie historyczne sprowadzał nieszczęścia wybujały indywidualizm, który udaremniał lub burzył wszelkie organizacye i zamiast ładu w pracy i prawidłowości w rozwoju wywoływał zamęt rozbieżnych dążeń. Właściwość ta pozostała w naszym charakterze dotąd z tymże samym wpływem praktycznym. Dość wejrzeć w nasze stowarzyszenia, obrady, roboty zbiorowe, ażeby się przekonać dowodnie, że ciągle jesteśmy cebrem raków, które wysypane na ziemię dążą w odmiennych kierunkach. Ta siła odśrodkowa przejawia się między nami wszędzie. Znane są rozpady ludności polskiej w Stanach Zjednoczonych. Tworzą się tam bezustannie rozmaite związki, które szybko rozłamują się na drobniejsze, te znowu na jeszcze mniejsze, a ten proces rozkładowy zatrzymuje się dopiero wtedy, kiedy dojdzie do jednostki, której rozdzielić nie może. Tak np. wiadomo mi, że w pewnem mieście kilkunastu Polaków zorganizowało się w dwa towarzystwa cyklistów. Niewątpliwie tkwi w nas głęboko i działa nieodparcie jakaś potężna siła indywidualizmu, której pokonać nie mogą ani rozumowania, ani doświadczenia, ani nawet nieszczęścia. Jeśli dwaj nasi skazańcy, mieszkający w jednej jurcie syberyjskiej, przedstawiają dwa stronnictwa, chociaż przedtem godzili się zupełnie, to doprawdy przyznać trzeba, że tych ludzi rozdziela jakieś nieubłagane fatum, które rozrywa nawet braterstwo wspólnej niedoli.

Pomimo wszelkich przeczeń i zastrzeżeń w szczegółach istnienie charakterów i dusz narodowych jest niezawodnym faktem. Badacz, któryby określił cechy zasadnicze wielu lub bodaj jednego, dokonałby dzieła wielkiej wartości. Próbował to uczynić poniekąd Le Bon (którego praca wyszła w przekładzie polskim jako „Psychologia rozwoju narodów"), ale mierzył za wysoko a. jak zwykle Francuzi, strzelił za nisko — dowcipnemi spostrzeżeniami, które płoną jak rakiety i szybko gasną. Powiada on słusznie: „Każda rasa (nazwy tej używa w znaczeniu ściślejszem) ma pewien ustrój psychiczny, równie stały, jak jej anatomia... Cechy moralne i umysłowe, których skojarzenie tworzy duszę narodu, przedstawiają syntezę całej jego przeszłości, spadek po wszystkich jego przodkach, motory jego czynów. Z pozoru wydają się one zmiennemi u różnych osobników tej samej rasy, obserwacya jednak wykazuje, że większość osobników tej rasy posiada zawsze pewną liczbę cech psychologicznych wspólnych i stałych." Gdyby ktoś, zebrawszy odpowiedni materyał, napisał psychologię narodu polskiego, rzuciłby rzęsiste światło nietylko na naszą historyę i życie obecne, ale nawet na rozwój przyszłości. Może z tego badania okazałoby się, że my skutkiem szczególnych ułomności charakteru, osobliwej duszy, jesteśmy niezdolni do tworzenia wielkich i silnych skojarzeń, któremi odznaczają się inne społeczeństwa, a natomiast posiadamy

przeciwne przymioty, których należyte zużytkowanie wynagrodziłoby nam straty z tego braku płynące; może okazałoby się, że my za ten brak potępiamy siebie niesłusznie i że powinniśmy wyzyskiwać nie to, co jest naszą słabością, ale to, co jest naszą siłą. W takim razie musielibyśmy zwrócić ster naszej nawy w inną stronę.

Takie wszakże wnioski i wskazówki posiadałyby bardzo ograniczoną wartość praktyczną. Zarówno społeczeństwo, jak jednostka, nie układa sobie warunków życia dowolnie, lecz musi przyjąć gotowe. Więc też nie by to nam nie pomogło, gdybyśmy najściślej dowiedli, że jesteśmy urodzonymi indywidualistami, że nawet ten gatunek ludzi będzie bardzo pożądanym i uprawnionym w przyszłości, jeśli teraźniejszość wymaga koniecznie uzdolnień społecznych. Zanim ta przyszłość nadejdzie, teraźniejszość wykona swój wyrok. Chociażby Polacy w Stanach Zjednoczonych lub w Niemczech jak najmocniej wierzyli w swój indywidualizm i szczycili się jego godnością, chociażby nim rozgrzeszyli wszystkie swoje rozterki, jeżeli zjednoczeniom amerykańskim lub germańskim przeciwstawiać będą swoje rozbicie i rozproszkowanie, zginą w nierównej walce. Bo zorganizowana łączność w obecnych warunkach życia daje zawsze siłę i przewagę nad mechaniczną mieszaniną i rozpadem. „Ja nie mogę“ — jest to wielki i święty wyraz, przed którym klęknąć powinna bogini sprawiedliwości, ale z którego szyderczo rozśmieje się okrutna rzeczywistość. Odpowie ona: „Nie możesz? — ale musisz. Nie możesz wyrzec się swej indywidualności, zrobić ustępstw, przystosować się do innych — to przepadniesz i przepadną wraz z tobą miliony podobnych. Ty nie jesteś stwórcą, ale stworzeniem, które musi przyjąć przeznaczone mu warunki istnienia.“ Nakaz stanowczy, nieodwołalny i niezłomny.

Jakiż z niego wypływa obowiązek dla nas samozwańczych i wybranych przewodników społeczeństwa? Rozumieć jego naturę, uwzględniać słabość, wskazywać siłę i tłomaczyć konieczność. Spodziewajmy się po sobie licznych i nieraz wspaniałych czynów jednostkowego poświęcenia, energii, rozumu, wytrwania, szlachetności, ale nie spodziewajmy się cudów, zdziałanych zgodą, solidarnością, mocnem zjednoczeniem. To nie są nasze bohaterstwa. Ale nawet nie mając żadnych pod tym względem złudzeń i doznając ciągłych rozczarowań, nakłaniajmy ogół do tych wysiłków, bo w nich spoczywają dźwignie rozwoju w rzeczywistości. Życie ludzkie ma także swoje niebo i ziemię. Jego niebo składa się ze słońca idei, z gwiazd geniuszu, z komet i meteorów świecących czasowo, z chmur, gromów, błyskawic, piorunów, tęcz i cudownej gry świateł, a jego ziemię stanowi codzienny znój, powszednie zabiegi o byt, cała ta z drobnych włókienek utkana praca, która umożliwia ludziom istnienie. Trzeba ciągle wznosić oczy do tego nieba, ale należy również pamiętać o wymaganiach ziemi.

Krótko mówiąc: chociaż przekonaliśmy się w wiekowiekowem doświadczeniu, że przedstawiamy może najmniej podatny materyał do tworzenia zrzeszeń, związków i organizmów społecznych, starajmy się jednak tę zdolność w sobie wyrabiać, gdyż ona jest pierwszorzędną siłą życia w obecnej rzeczywistości. Ludziom pobożnym otwierały się rany w dłoniach i stopach pod wpływem myśli o męce Chrystusa, dlaczegóżby w ludziach rozumnych nie miała się zrodzić potrzebna moc ducha pod wpływem ciągłej myśli o jej pożytku?

Poseł Prawdy.



BADANIA NAUKOWE.

FILOZOFIA.

W. Lutosławski: *Seelenmacht*, Abriss einer zeitgemässen Weltanschauung. Lipsk (301 str.).

II.

O ile w poprzednich rozdziałach rozwiązywał autor zagadnienia jednorodne, o tyle w następnych rozstrzyga kolejno najróżnorodniejsze. Pod tytułem więc: „rozwój dusz“ mówi o nauce języków, doświadczeniach, woli, rozumie i rozsądku, symbolach matematycznych, egoizmie, pięknie itd. Jest to traktacik pedagogiczny, zawierający garść zdań słusznych, wogóle wszakże nieodznaczający się oryginalnością. Dalej idzie wykład o „najwyższych istotach.“ „Jeżeli świat składa się z dusz nierównych — powiada autor — jedna tedy *musi* być między niemi najwyższą.“ „Filozof teraźniejszości — według niego — urodzony i wychowany w wolnym kraju, może sobie wyobrażać Boga *tylko* jako wielkiego nauczyciela, którego uczniowie słuchają się dobrowolnie.“ Zwracamy uwagę czytelników na wyrazy podkreślone, gdyż są one typowemi znamionami rozumowań autora, który stanowczem słowem zastępuje dowód i każe widzieć możliwość, konieczność i mus tam, gdzie równie dobrze i równie „logicznie“ mogą te wypadki nie zachodzić. Boga maluje fantazyą, a zdaje mu się, że logiką. Według niego „Bóg dobrowolnie dzieli się z nami władzą, zrzekając się wszechmocy, ażebyśmy mogli używać swobody“; ponieważ zaś zło istnieje wbrew woli Istoty Najwyższej, przeto jej władza ma granice.“ Nadto wstępujący szereg (coraz wyższych) dusz „wyłącza (?) stworzenie.“ „Nie mamy żadnej podstawy w imieniu nowoczesnej wiedzy wątpić o dawnych cudach... Mogą przejść miliony lat bez jednego prawdziwego cudu na ziemi, podczas gdy na jakiemś innem miejscu wszechświata cuda następują ciągle z przyczyn wiadomych tylko Najwyższej Istocie.“ Jak w człowieku dusza główna ma pomocnice, tak we wszechświecie Bóg ma pomocników, duchy, których istnienie jest „koniecznością myślenia.“ Do nich to zwracają się, a przynajmniej powinny się zwracać modły ludzkie, jeśli mają być skuteczne.

Z kolei uczy nas autor o nieśmiertelności. „Jedyną metodą — powiada — która mogłaby nam dostarczyć dowodu nieśmiertelności, jest ta, która dowodzi istnienia duszy. Warunkiem takiego dowodu jest wprawa logiczna, która nas uzdalnia do tworzenia rozstrzygających w tym względzie pojęć. Skoro raz zdobędziemy takie pojęcia, wówczas nasza nieśmiertelność będzie równie oczywistą, jak udowodnienie geometryczne.“ Najważniejszem jest tu pojęcie substancyi. „Dusza moja jest substancyą, każda substancya jest niezniszczalną, zatem moja dusza jest niezniszczalną... Ażeby kogoś przekonać o nieśmiertelności, nie mogę argumentować objektywnie; mogę go tylko objaśnić, jak przyszedłem do pojęć o niezniszczalności substancyi i substancyalnej duszy i wezwać go, ażeby te same pojęcia wywołał w swojej świadomości, a wtedy nieśmiertelność duszy okaże mu się nie mniej jasno, niż światłość słońca lub suchość ognia.“ P. L. wierzy w metampsychozę dusz, w istnienie ludzkich ciał wewnętrznych, „astralnych,“ zbudowanych z delikatniejszych materyałów, niż widzialne, chociaż wyznaje, że nie może tego udowodnić. „Po śmierci —zapowiada dalej —pozostanę sie tą samą osobą, z temi samemi skłonnościami, zdolnościami i dążeniami, tylko wolną od nacisku uczuć, spowodowanych przez ciało... Będę wtedy przyjmował tylko tyle spostrzeżeń, ile zechcę, a myśli moje nie będą skrępowane wrażeniami zmysłowemi. Te wnioski nie są tworami fantazyi, jak może mniemać niejeden logicznie i psychologicznie niewyszkolony fizyolog, lecz wynikają *koniecznie* z jasnego rozróżniania ciała i duszy, z poznania działań i uzdolnień duszy, istotowo różnych od sił cielesnych... Nasza znajomość przyszłego życia jest daleko pewniejszą, niż wszystkie hipotezy o okresie lodowym.“

Dusze są bezpłciowe — tę prawdę odkrył już Plato, a miłość nie ma źródła w żądzy zmysłowej. Mimo to istnieją, obok jednorodzajowych, dwurodzajowe „pary dusz,“ które się przyciągają, łączą, kochają — skutkiem podobieństwa, wspólności celów itd. Autor wszakże nie może zaprzeczyć, że odmienność płci w takich związkach „ma swój osobliwy urok“ i „powiększa natężenie.“ Dwa ciała z duszami pokrewnemi, łączące się dla spłodzenia trzeciego, nie ulegają popędom zmysłowym, lecz pobudkom idealnym: kobieta „poczyna niepokalanie,“ a oboje zaklinają dziecko, ażeby do nich przybyło z duszą im podobną. Dlaczego geniusze nie mają równych sobie dzieci? Bo nie mogą znaleźć odpowiednich kobiet. Autor przestrzega przed niedobranemi i zmysłowemi małżeństwami nietylko ze względu na życie obecne, ale i na przyszłe: rozpustnicy bowiem będą okropnie cierpieli potem w przymusowej wstrzemięźliwości.

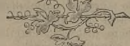
W rozdziale o ustroju społecznym porusza autor najrozmaitsze sprawy, opatrując je krytycznemi uwagami. Jest on przeciwnikiem socyalizmu, ale zarzuca również wiele obecnej organizacyi społecznej: doskonałą według niego byłaby taka, któraby „każdemu dostarczała najlepszej sposobności do rozwinięcia i pomnożenia osobistych darów i uzdolnień.“ Rozdział o „celach życia“ wypełniony dość jałową i pospolitą frazeologią, rozwiniętą z kłębka poglądów indywidualistycznych. Książka kończy się „widokami na przyszłość.“ Tu autor kreśli szkic nowego ustroju, który powstanie „gdzieś we wszechświecie, a może na naszej ziemi i który będzie związkiem istot wolnych i kochających się.“ Będzie to „eleutheria,“ której rządy naturalnie spoczywać będą w ręku filozofów. Dla tej eleutheryi autor nie wymyślił, wzorem innych marzycieli, nowych stosunków, uczuć i zasad, lecz ofiarował jej stare w poprawnej i udoskonalonej postaci.

Praca p. Lutosławskiego zawiodła nas pod wielu względami. Sądząc bowiem z jednego o niej głosu i ze streszczenia jej przez samego autora w *Przeglądzie filozoficznym*, spodziewaliśmy się znaleźć w niej oryginalnie pomyślany i rozwinięty wykład indywidualizmu — oraz, jak się wyraża p. L. — „pogląd na istotę i cele życia ludzkiego z punktu widzenia Polaka, wykształconego śród obcych a jednak uparcie zachowującego swe własne, odziedziczone po twórcach złotej wolności uczucia.“ Tymczasem jest ona metafizyką dawnego autoramentu z dodatkiem ogólnikowych uwag o życiu praktycznem i paru wtrąconych zdań o naszem. Wobec koła czytelników *Prawdy*, składającego się z ludzi ukształconych, zbytecznem byłoby przeprowadzać szczegółową krytykę twierdzeń p. L. i uzasadniać odmienność naszych zapatrywań, tem bardziej, że musielibyśmy tę sprzeczność wykazać prawie we wszystkich punktach. Znacie chleb wypiekany ze starych, zmielonych bułek, których kawałki zachowują się w cieście? Takim chlebem jest „Seelenmacht.“ Łatwo w niej odnaleźć kawałki Leibnitza, Kanta i wielu idealistów, a przedewszystkiem Platona. P. L. przyznaje się otwarcie do zależności umysłowej od tego mi-

strza, ale jego szczerość nie zmniejsza naszego zdziwienia nad takim wyborem. Bo nie ujmując genialności i znaczenia mędrcowi greckiemu, sądzimy, że ani on, ani żaden myśliciel, żyjący przed 20 paru wiekami, nie może być mistrzem filozofa dzisiejszego. Ludzkość przez ten wielki przeciąg czasu nie próżnowała i nie przeżuwała jedynie starych zakonów, lecz pracowała, badała i odkryła prawdy, o których rzeczywiście dawnym filozofom się nie śniło. Ironiczne spostrzeżenie Heinego, że karzeł, wlazłszy na ramiona olbrzyma, widzi więcej od niego, zawiera w sobie również myśl poważną. Dzisiejszy student matematyki wie daleko więcej z astronomii, niż Kopernik, co wcale nie ubliża i nie zmniejsza ani wielkości, ani zasługi twórcy teoryi o obrotach ciał niebieskich. Dla ludzi dość sławy, gdy są słońcami jakiejś epoki, do przyświecania przez wieki wieków nie mogą i nie powinni rościć pretensyi. Złe skutki sfanatyzowania się nauką jakiegoś, zwłaszcza oddalonego mistrza, nigdy może nie wystąpiły widoczniej, niż w książce p. L. Pisarz niewątpliwie zdolny, obejmujący szerokie kręgi wiedzy, jest umysłem jak gdyby zabalsamowanym z przed dwu tysięcy lat, który mniema, że filozofia to nie najwyższe uogólnienie nauk szczegółowych, lecz osobna mądrość, który wyciąga wnioski nie z konkretnych, ściśle sprawdzonych faktów, lecz z ogólnikowych założeń, który giętką dyalektyką, noszącą u niego miano logiki, chce wszystko wyrozumować, wykryć i poodsłaniać najskrytsze tajemnice. Nie widzi, że podobnych formalnie a zupełnie różnych treściowo wywodów „logicznych“ można narobić bez końca, że ich wartość spoczywa nietylko w prawidłowości wniosków, lecz także w prawdzie przesłanek, że ciągle przefruwa na skrzydłach fantazyi przepaście, a zdaje mu się, że rzuca przez nie trwałe mosty, po których bezpiecznie przejdą tłumy jego „uczniów.“ Dla przykładu weźmy jakikolwiek ustęp. „Filozofowie — twierdzi autor — prawdopodobnie nie odradzają się na ziemi, a ci, którzy obecnie poświęcają się filozofii, mieli przedtem (w poprzednim życiu) mniej wysokie cele. Byli może wojownikami lub poetami, żyli w odmęcie zmysłowych rozkoszy, zmiennych spostrzeżeń, nie czując potrzeby wzniesienia się do rozważania rzeczy ogólnych.“ Co wart cały ten frazes? Tyle, ile np. domysł, że filozofowie byli w poprzednim życiu cebulami.

Ale zgodzilibyśmy się nawet na fantazyę, gdyby ona była śmiałą i zawierała wątek pomysłów oryginalnych. Tego metafizycznym rojeniom p. L. brak. Przyjmuje on za dobrą monetę najpospolitsze pojęcia, najgrubsze zabobony, najwadliwsze stosunki, słowem całą istniejącą obecnie powszedniość i stara się ją ubrać w stare, trochę oczyszczone szaty filozoficzne. Nie może on się wydobyć z utartych kategoryj myślenia, sięgnąć wzrokiem w przyszłość dalszą, niż epoka pewnej poprawy teraźniejszości w duchu indywidualistycznym. Z książki jego wieje duch szlachetnego humanizmu, głęboka miłość dla dobra, szczera życzliwość dla ludzi, ale wszystkie te przymioty mogły się były wypowiedzieć bez tej metafizycznej mgły i dyalektycznych zygzaków, które bardziej duszą i nużą, niż uczą, a wypełniają większą część dzieła, nadewszystko zaś bez tego lekceważenia dorobku nauk ścisłych a zabawnego przeceniania w powietrzu zawieszonych domniemań.

A. Ś.



HISTORYA.



Oswald Balzer: *O zadrudze słowiańskiej — uwagi i polemika (Kwartalnik historyczny*, II, 1899 i w osobnem odbiciu).

Przed rokiem napisał prof. Balzer rozprawę polemiczną p. t. „Rewizya teoryi o pierwotnem osadnictwie w Polsce“ (*Kwart. hist.* i w osobnem odbiciu). „Rewizya“ była dokładnym rozbiorem poglądów prof. Piekosińskiego na charakter społeczny pierwotnego osadnictwa słowiańskiego w ziemiach polskich, przyczem autor wyraźnie oświadczył się za teoryą rodowego początku społeczeństwa polskiego, a więc tem samem i za teoryą gospodarczych wspólnot rodowych. Wskutek tego „rewizya“ poglądów Piekosińskiego nabrała w rozprawie Balzera znaczenia zasadniczego w nauce i — co więcej— po raz pierwszy odezwał się z pośród historyków-prawników polskich głos w sprawie zbliżenia badań prawno-historycznych do wyników badań etno- i socyologicznych. Obecnie sprawa posunęła się naprzód o tyle, że rdzeń wywodów Balzera znalazł się w 4-tomowej „Historyi narodu polskiego,“ wydanej niedawno w Warszawie i że w ostatnim zeszycie *Kwartalnika historycznego* widzimy w dziale recenzyjnym zwrot ku uwzględnianiu spraw ludoznawczych. Na takiem tle występuje tem wyraźniej nowa rozprawa polemiczna Balzera „O zadrudze słowiańskiej.“ Autor ocenia w niej krytycznie poglądy na tę instytucyę, wyrażone w pracy Kadlera. „Rodinny nadil čili zadruha w prave slovanském“ (Praga. 1808) i w trzech analogicznych rozprawach J. Peiskera („Zur Sozialgeschichte Böhmen,“ „Vychodisko Meitzenova licem agrérnich dejów germanskych a slovanskych“ i „Slovo o zadrudze“). Nazwa „zadruga“ oznacza wspólnotę gospodarską rolniczą, obejmującą osoby, złączone węzłami pokrewieństwa, a więc rodowo. Dotąd utrzymują się zadrugi u Słowian południowych, a zwłaszcza u Serbów i Kroatów i od nich nazwa tych wspólnot przyjętą została w nauce na oznaczenie podobnych u wszystkich innych narodów słowiańskich. Wskutek tego pojęcie „zadrugi“ w badaniach naukowych rozszerzyło się obecnie o wiele, albowiem obejmuje ono każdą wogóle rodową wspólnotę gospodarczo-rolniczą bez względu na to, że po dzień dzisiejszy, a tem więcej w źródłach historycznych spotykamy u poszczególnych narodów słowiańskich inne nazwy takich instytucyj społecznych. W Czechach naprzykład i Polsce istnieje nazwa „braci niedzielnych“ na oznaczenie „zadrugi,“ na Rusi dawniej nazwa „wielikaja zemlia,“ obecnie zaś „mir“ i „obszczyna“ itp. O „zadrugach“ południowo-słowiańskich i czeskich istnieje już sporo rozpraw naukowych, o wspólnotach polskich pisano bardzo mało, mniej, aniżeli o ruskich. Balzer przytacza w swej pracy dzieła poprzedników; pominął jednak badania nad wspólnotami w głębi Rosyi, a to widocznie dlatego, że pomija je także rozprawy Kadlera i Peiskera. Jest to jednak ważna luka, zwłaszcza że rozprawa Peiskera zbliża się bardzo do poglądów, wyrażonych kilkakrotnie w odnośnej literaturze rosyjskiej o powstaniu „obszczyn“ pod wpływem administracyjno-państwowym, a nie prastarych urządzeń rodowych słowiańskich.

Podobnie jak Balzer, Kadler uważa „zadrugi“ za przeżytki społeczne ustroju rodowego u Słowian, a więc także za przeżytki t. z. komun pierwotnych. Balzer o tyle tylko jest ściślejszym, że później w polemice z Peiskerem zastrzega się przeciw wyrazowi „komuna,“ rozumiejąc zgodnie z obecnym stanem nauki, iż pomiędzy dzisiejszem pojęciem komuny a istotą gospodarczą wspólnot rodowych zachodzi wielka różnica. Nie jest to jednak — trzeba zaznaczyć — różnica zasadnicza ze względu, że zarówno wspólnoty rodowe, jak i wszelkie cechy komun gospodarczych, tkwią w takiem samem podścielisku, tj. we własności wspólnej. Inna znów rzecz, że względne idealizowanie wspólnot rodowych jest naukowo mniej uzasadnionem i ma — jak to wykazał Krauz („Retrospekcya socyologiczna“)— znaczenie więcej bieżące, w stosunku do najnowszych poglądów i dążności społeczno-gospodarczych. Rezultaty rozprawy Kadlera przyjmuje zresztą Balzer z małemi tylko zmianami, mianowicie w sprawie wspólnot rodowych polskich. Wykazuje, że one przetrwały u nas do drugiej połowy XV w., zwłaszcza w rodach szlacheckich. Często, co prawda, były szczupłe, bo obejmowały tylko członków rodziny (t. zw. inokostina), ale istniały także obszerne, obejmujące rodziny rozrodzone, jak np. wspólnota rodu Niesłuchowskich, która w połowie XV w. obejmowała około 20—30 osób.

O ile wszakże Balzer może ze względu na własne przeświadczenie naukowe popierać i uzupełniać tylko poglądy Kadlera, przeciwnie, w stosunku do prac Peiskera i ich zasadniczych rezultatów zajmuje stanowisko polemiczne. Peisker mianowicie wychodzi z założenia, że „pierwotna własność u Słowian była ściśle indywidualną“ i że niewątpliwe istnienie „zadrug“ da się wyjaśnić tylko późniejszym rozwojem społecznym. Nadto ułożył on całokształt swoich poglądów o losach przeddziejowych ludów słowiańskich w pewną systematyczną i oryginalną całość. Sądzi on, że kiedyś uległy one masowo najazdowi Germanów, że później powstały u nich dwie warstwy społeczne: pasterzy (potomków germańskich) i rolników i że cała przedhistorya Słowian jest walką społeczną tych warstw, ukończoną zwycięztwem rolników jeszcze przed wyłonieniem się państw słowiańskich na widownię dziejową. Dowodów na poparcie swej hypotezy szuka Peisker w lingwistyce porównawczej i w pewnych przeżytkach gospodarczo-społecznych u Słowian, zwłaszcza południowych. Niestety — dowody te są tak słabe, że Balzerowi powiodło się łatwo i nie bez pewnej dozy ironii polemicznej obalić je — mojem zdaniem — raz na zawsze. Mianowicie podstawa poglądów Peiskera, tj. ów. nieznany dotychczas najazd Germanów na Słowian w czasach najdawniejszych nie da się w żaden sposób stwierdzić. Przeciwnie — dodam — wiemy dzisiaj dość dobrze, że w prawiekach istniały tylko najazdy ludów mongolo-kształtnych na Słowian i że najazdy germańskie (np. Gotów) należą już do czasów historycznych. Wywody Peiskera znakomicie charakteryzuje między innemi jego geneza nazwy „smerch.“ Przedewszystkiem uważa on tę nazwę *a priori* za ogólno-słowiańską na oznaczenie chłopów i wysnuwa ją z wyrazu „śmierdzieć.“ Wreszcie dla udowodnienia swojej pastersko-rolniczej teoryi twierdzi na seryo, że taką pogardliwą nazwę nadali rolnikom słowiańskim zaborcy, pasterze germańscy, albowiem „śmierdzieć może tylko rolnik pasterzowi!“

O wiele więcej krytycznym jest Peisker w genezie „zadrug,“ chociaż — jak już wspomniałem — wcale nie oryginalnym. Sądzi on, że południowo-słowiańskie „zadrugi“ powstały z późnego stosunkowo połączenia się gospodarczego rodzin i rodów całych — ażeby łatwiej znosić ciężar fiskalny rządów byzantyńskich, a później tureckich. Balzer słusznie zakwestyonował naistotniejszą podstawę teoryi Peiskera, tj. potrzebę gospodarczą tworzenia „zadrug“ dla celów podatkowych, albowiem Byzantyńcy wybierali zwykle podatek od głowy i dla nich, a tem mniej dla Turków, nie mogła nigdy tworzyć „zadruga“ wspól-

noty ze względu na opłatę podatków. Nadto wiadomą jest rzeczą, że „zadrugi“ istniały u południowych Słowian za czasów ich samodzielności państwowej, a wywody Peiskera, że były to tylko „małe“ — niczego nie dowodzą, albowiem każda bez względu na ilość jej członków była zawsze gospodarczą wspólnotą rolniczą, opartą na zasadzie pokrewieństwa jej współuczestników. Peisker chce jednak za pomocą „małych“ zadrug wyjaśnić także ich niewątpliwe istnienie u Słowian północnych, którzy nigdy nie podlegali ani Byzantyńcom, ani Turkom. Balzer wykazał, że gdybyśmy nawet chcieli zgodzić się na to, że „małe“ zadrugi to coś rzeczywiście odmiennego od „wielkich,“ to i wówczas wywody Peiskera nie wytrzymują krytyki, albowiem samodzielne studya Balzera nad wspólnotami w Polsce wykazują, że u nas istniały takie „zadrugi wielkie.“ Peisker nagromadził w swojej pracy cały szereg wyrazów mniej zasadniczych, które wszystkie jednak nie wytrzymują krytyki Balzera. Czasami są tak błahe, że zbijanie ich przekracza miarę rzeczywistej potrzeby. Być może, że autor „Zadrugi“ czuł się jednak zobowiązanym do tak skrupulatnej polemiki z Peiskerem, ten bowiem zaatakował także rezultaty Balzera w jego „Rewizyi teoryi o pierwotnem osadnictwie w Polsce.“

Jest tedy — jak wspomniałem — praca Balzera przeważnie polemiczną; niemniej jednak posuwa krytykę „zadrug włościańskich“ naprzód. Uzasadnia teoryę o rodowym początku rozwoju społecznego u Słowian i nadto zawiera cały szereg źródłowo uzasadnionych szczegółów o przeżytkach wspólnot rodowych w Polsce średniowiecznej.

Dr. K. J. Gorzycki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

***

Roman Zawiliński: *Słowacy, ich życie i literatura* (Bibl. dzieł wyb.). Warszawa, 1899, str. 158. — Józef Dunin Karwicki: *Ze starego autoramentu*, serya druga, Warszawa, nakład księgarni Dubowskiego, 1900, str. 239. — Generał Dragomirow: *Joanna d'Arc (Dziewica Orleańska)*. Kijów, 1900, str. 66.

Ze treściwej i bardzo skromnie tym razem napisanej przedmowy p. T. A. Święcickiego dowiadujemy się kilku szczegółów z życia Romana Zawilińskiego, jednego z wybitniejszych przedstawicieli wiedzy naszej antropologicznej i etnologicznej. Urodzony w r. 1855 w Galicyi, Zawiliński uczęszczał do gimnazyum w Tarnowie, studya uniwersyteckie odbył w Krakowie i Wiedniu. Zawód nauczycielski, najpierw w Nowym Sączu, następnie w Krakowie, w gimnazyum św. Anny, rozpoczął w r. 1979. Od r. 1883 jest członkiem czynnym krak. Akademii umiejętności, której roczniki, w dziale filologicznym, pracami swemi zasila, zamieszczając zarazem rozmaite rozprawy naukowe, pedagogiczne, historyczno-literackie i językoznawcze w *Wiśle*, *Ateneum*, *Bibl. warsz.* itd. Wyjeżdżając, dla pokrzepienia strarganego pracą zdrowia na wakacye, wybiera zawsze taką miejscowość, w której mógłby studyować bądź język, bądź zwyczaje otaczających go ludzi. W ostatnich czasach poświęcił się badaniu życia i literatury małych narodów słowiańskich pod panowaniem pruskiem i madziarskiem. Owocem tych badań między innemi jest książka o Słowakach węgierskich, najbliższych, jak się zdaje, pobratymców ludu polskiego. Jasno, spokojnie, malowniczo — a w części dotyczącej umysłowego życia Słowaków — z erudycyą wystarczającą obfitą opisuje Zawiliński w dobrej i pożytecznej swej pracy obecne siedziby ludności słowackiej, zajęcia, stosunki rodzinne, społeczne i polityczne, język, literaturę dawniejszą i teraźniejszą itd. Wydanie dzieła przynosi chlubę „Bibliotece dzieł wybor.,“ redagowanej z niesłychaną nierównowagą starań i gorliwości, w ciągłem przeplataniu rzeczy istotnie wyborowych — wybierkami, o których mówić się nie chce i nie warto. Tym razem obok korekty uważniejszej (co u nas w ostatnich czasach stało się wyjątkiem rzadkim) mamy szereg pięknych, pięknie wykonanych rycin (z wyjątkiem wszakże Starego Hradu, str. 24, ryciny zamazanej na czarno). Czytelnik z przyjemnością przebiega takie widoczki, jak Turczański św. Marcin, lub takie podobizny głównych działaczy i przywódców słowackich, dawniejszych i dzisiejszych, jak Kmet, Kollar Kukuczin, Orszagh, Vajonsky, Mudroń, Helena Solteszowa.

Ludziom, którzy po dziśdzień wierzyć nie chcą w zmienność gatunków i z tego względu uważają Darwina za półdyablę lub za całego dyabła weneckiego, zaleciłby nałożało przejrzenie literatury naszej zwyczajowo-obyczajowej od „Pamiętników Soplicy“ do „Gawęd“ Wójcickiego, od „Gawęd“ do pogadanek p. Dunin-Karwickiego. Zestawienie typów takich, jak: dawna wielka pani polska i dzisiejsza polska grandesa, kwestarz za dni Stanisława Augusta i kwestarz za panowania w literaturze Ignacego Chodźki, miszures z czasów poddaństwa i jaśnie wielmożny bankier patrymonialnej władzy dziedziców na Koźlich Nogach i Pipidówce — przekonałoby tych niedowiarków, że morfologia ludzka posiada przykłady popierające zmienność i niestałość spraw na ziemi, o jakich się nie śniło najzagorzalszym nawet zwolennikom darwinizmu w zoologii. Z tego tytułu — tj. jako materyał porównawczy — obrazki wołyńskie p. Józefa Dunin-Karwickiego zasługują na przechowanie biblioteczne aż do dalszego ciągu transformacyi okazów z epoki przedpotopowej i zupełnego ich wymarcia, ażeby tym sposobem stać się mogło zadość aforyzmowi o zmartwychwstaniu w pieśni, co zaginęło w życiu. Obrazki te bowiem, jakkolwiek kreślone bez werwy, bez humoru... no i bez nadzwyczajnego talentu, rozwlekle, nudnie, ze staro-moralizatorką intencyą, noszą przecież na sobie cechę żywcem pochwyconej niegdyś, w latach młodocianych, rzeczywistości. Znał to autor, ocierał się o to, mniej więcej około czasów generał-gubernatorstwa Bibikowa — i o niejednym ze szkiców da się powiedzieć własnemi jego słowami o miszuresie: „w głębi Rosyi, za Dnieprem, gdzie dawniej Żydów zupełnie nie było, niezmiernie czuło się brak naszego ruchliwego i usłużnego miszuresa — *sam tego doświadczyłem przed r. 1859*, włócząc się po tamtejszych miastach i głównych końskich jarmarkach w charakterze oficera-remontiera od huzarów.“

W okolicznościach wyjątkowych wolno może niekiedy mówić językiem przekładu p. Staweczańskiego, chociaż i to wielce wątpliwe, ale pisać do druku — nie, niewolno. Uszłoby to, przypuszczamy, w kucharce litewskiej, w rachunkach z pachciarzem, ale nie w „Dziewicy Orleańskiej,“ o której tłomacz w imieniu autora powiada: „jest jedyną w *całej powszechnej* historyi“ i „nie *choćby tylko bliżej podobnego* do niej znaleźć nie można“ (str. 4). Wobec stylowego tego okazu recenzent znajduje się w położeniu owych Meksykanów, o których p. S. Staweczański zapewnia, że gdy „po raz pierwszy ujrzeli konie i palną broń, *takowe* stanowiły... cud.“ Cudowne to, zaprawdę. „*Każden* krok nasz okrążony jest niepojętą tajemnicą...“ „Przywidzenia... nikt *nie liczy* nieprawdopodobnem“ (5)... „Książę Lotaryngii *zapotrzebował* ją do siebie“ (12)... „Joannie *przyszło się* mieć do czynienia“ (18)... „Piękny był widok *patrzeć dysputującą* kobietę“ (21)... „Joanna była raniona .. *tylko* 7 maja“ (25)... A im dalej tem gorzej. Niezła rycina na wstępie, do książki, gruby doborowy jej papier, wyraźny druk, kolorowe obwódki stronic, uwydatniają jeszcze bardziej ową cudowność wysłowienia. Głęboko skażona składnia dziwi z początku, później gniewa, w końcu oburza: zaledwie się domyślamy, w jakich to mianowicie miejscach, pod sponiewieraną szatą języka, myśl autora wykrzywia się. Zresztą, wśród narastających spaczeń stylowych tracimy nawet możność świadomego wyrokowania o treści utworu.

Turn.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Lucyan Rydel: *Zaczarowane koło*, baśń dramatyczna w pięciu aktach, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie imienia I. Paderewskiego.

Powodzenie, jakiego doznała sztuka Rydla, niezmiernie ułatwia nam zadania. Rydel otrzymał na konkursie pierwszą nagrodę, sztuka jego nie schodzi z afisza, krytyka przyjęła ją niezmiernie przychylnie; zaledwie jedno pismo stanęło w opozycyi, a dwa inne wykazały pewne braki. Ogółem jednak rezultat krytyczny wypadł świetnie. Na podstawie recenzyi Rydel miałby prawo mniemać, że napisał rzecz doskonałą.

I rzeczywiście tak jest. Napisał rzecz doskonałą. Ale jaką?

Na to pytanie krytyka dała odpowiedź nieco bałamutną. Zaledwie dwa głosy odważyły się nazwać utwór po imieniu. Wyszły one z ust ludzi, nie będących krytykami literackimi z zawodu.

Głosy te mniemały, że „Zaczarowane koło“ należy do kategoryi utworów takich, jak „Szklana góra,“ „Tomcio paluch,“ „Cud dziewica.“ Obniżyły przeto rodzaj i do niego przystosowały pochwały.

Natomiast krytycy, których surowe sądy o dramatach fantastycznych Słowackiego bynajmniej się w pamięci naszej nie zatarły i którzy świeżo o „Dzwonie zatopionym“ Hauptmana uznanie swoje ostrożnie odważali, wyrazili pochwały dla „Zaczarowanego koła“ bez wszelkich zastrzeżeń.

Dlaczego?

Zdaje nam się, że odpowiedź dla ludzi obdarzonych wzrokiem leży jak na dłoni.

Zapanował u nas w estetyce od pewnego czasu istny chaos. Coraz więcej sporów, coraz więcej kłótni o kierunki, coraz mniej znawców. Niezależnie od pewnej grupy intrygantów, którzy w ocenie dzieł kierują się względami ubocznymi, niemającymi nic wspólnego ze sztuką, zawładnęli u nas opinią artystyczną ludzie, którzy się niestety na sztuce znają tylko pozornie. Są to erudyci, badacze, ruchome biblioteki, jednem słowem esteci, którzy „ocenioną literaturę“ oceniają znakomicie, ale w literaturze powstającej zupełnie się nie oryentują. Są to prawdziwe „teki bez geniuszu.“

Wpływ tych ludzi dzięki ich erudycyi jest niestety ogromny. Jakże tu nie wierzyć pisarzowi, który umie powiedzieć wszystko o Beethovenie, Tycyanie, Goethem, Szekspirze? Taki erudyta zawsze krzyżową sztuką cytat znawcę w kąt zapędzi.

Co chwila mamy też niespodzianki. Krytyka tworzy całe tomy o Mickiewiczu i nie rozjaśnia ani jednej komórki organizmu jego twórczości; nagle ukazuje się roz-

prawka człowieka niezawodowca, który na kilkunastu stronicach wypowiada więcej, niż zawodowa krytyka w ciągu kilkunastu lat i stawia istną teoryę artystycznego patrzenia i poznania.

Inny fakt. Krytyka staje do apelu w pełnem uzbrojeniu na wieść o debiutach poetyckich kilku piór młodocianych w Krakowie, które były w ruchu zaledwie rok, skreśliły najwyżej po jakieś tysiąc wierszy i których obrońcy nawet radzą krytykom zaczekać czas jakiś z sądami — kiedy mamy równocześnie potężnych pisarzy, tworzących od lat, którzy dali nam szereg arcydzieł i w literaturze osobny dział stanowią — a ani jeden z krytyków nie odważył się na rozbiór ich twórczości!

Dlaczego?

Dzieła nowe, oryginalne, to jak nowe potrawy. Krytycy obawiają się skosztować, bo nie wiedzieliby, co o nich powiedzieć. Dopiero kiedy ogół w nich zasmakuje, zabierają głos i wykazują wszystkie rozkosze, jakich doznają prostacy.

Inny fakt. Spór o Maeterlincka. Jedni wynoszą go nad Szekspira, inni bezwzględnie odrzucają. Pierwszych nie zawsze rozumiem, drugich nie rozumiałem nigdy. Każdy pozorny, czy istotny dziwoląg tego autora tłomaczy się nastrojem. Czy wykazał ktokolwiek rzeczowo, że Maeterlinck właśnie przeciw nastrojowi nieraz mocno grzeszył? Śmierć zbliża się do domu; psy podwijają ogony i uciekają do budy: drzwi domknąć nie można, bo śmierć wchodzi. My natomiast wiemy, że wtedy psy wyją przeciągle, wystawiwszy łby do góry, a co do owego niedomykania drzwi, to już i w „Strasznym dworze“ śpiewają, że „duchom zamknięcie drzwi nie dokucza, kto duch ten zmyka dziurką od klucza.“

A teraz sprawa „Zaczarowanego koła.“

Gdyby jakiś autor z „Balladyny,“ „Lilii Wenedy“ i „Beatrix Cenci“ skleił jeden dramat, nazwanoby go popierwsze plagiatorem, podrugie kompilatorem, a potrzecie fuszerem, który nie rozumie, że każda z tytułowych postaci musi mieć dla swych ruchów osobny świat. Nagle ni stąd ni zowąd wolno w ten sposób postępować z dziełami fantazyi ludowej.

Faust zawiera układ z Mefistofelesem. Dotąd Goethe stałby na stanowisku Rydla. Ale kto jest Faust? Szukał prawdy, wiedza mu jej nie dała; tymczasem nie zaspokoił potrzeb serca a zestarzał się. Tej chwili czekały złe instynkty, które stają przed mędrcem w postaci Mefistofela.

Inny przykład z dziedziny poezyi żartobliwej. Twardowski zawiera układ z dyabłem. Dotąd i Mickiewicz stałby na stanowisku Rydla. Ale w chwili zwabienia kontrahenta do Rzymu trzeba przed porwaniem duszy spełnić trzy warunczki. Dyabeł wybudował gmach z ziarnek orzecha, ukręcił bicz z piasku, nawet w święconej wodzie się wykąpał: ale żyć przez rok z panią Sekutnicką — nie, tego by i dyabeł nie potrafił!

Wojewoda zawiera układ z Borutą. Dotąd Goethe, Mickiewicz i Rydel staliby na jednem stanowisku. Nie ukarzesz, wojewodo, niewinnego człowieka! — Co dalej? Co przedstawia wojewoda? Jaka charakterystyka Boruty? Nic. Wojewoda poprostu ukarał śmiercią niewinnego człowieka, a Boruta za to wziął jego duszę.

Radziwiłł pragnie buławy, czy czegoś innego. Dotąd Sienkiewicz stałby na jednem stanowisku z Rydlem. Ale Radziwiłł wiąże się ze Szwedami, wrogów naprowadza na kraj, staje się powodem najokropniejszych klęsk i sam zwala się pod brzemieniem swego upodlenia. W „Zaczarowanem kole“ Wojewoda żąda w drugim akcie buławy i Rydel mu ją poprostu daje w akcie piątym.

Wracaj do ludzi, woła Wodnik do odlewacza dzwonów w dziele Hauptmana. Czy ty wiesz, w jaki świat wszedłeś? Czy ty wyżyjesz śród nas? Tyś człowiek, milionem nitek związany ze społeczeństwem! Zginiesz! Własna twoja natura podniesie rękę przeciw tobie! Odlewacz nie usłuchał, zerwał najświętsze węzły, społeczność obrzuciła go kamieniami, plunął na nią ze szczytu — a jednak, kiedy upiory w koszulinkach stanęły przed nim z dzbanuszkiem łez porzuconej matuli, nie wytrzymał — i spełniły się wszystkie przepowiednie.

Drwal Rydla wkracza do puszczy. Leśny dziadek ostrzega go. Drwal nie usłuchał i został za karę posądzony o morderstwo i mimo wszelkich zapewnień o swej niewinności stracony.

Zatem:

Podanie jest dla Goethego, Mickiewicza, Hauptmana tylko impulsem, punktem wyjścia, drzwiami, przez które wstępują do stworzonego przez siebie gmachu charakterów, starć dramatycznych, psychologii, idei — dla Rydla zaś rzeczą już skończoną, stanowiącą jedynie materyał dla pięknej wersyfikacyi.

Tego rodzaju drogę artystyczną wytyka u nas Rydel o osiemdziesiąt lat zapóźno. To nie jest baśń dramatyczna, fantazya sceniczna *wysnuta* z podań ludowych. To jest zupełnie inny rodzaj, który z fantazyą niema nic wspólnego, a z poezyą tylko piękny wiersz.

Ale poezya dramatyczna nie polega na tryoletach, które są jeno szwami w jej królewskiej sukni. Polega na pomyśle, na postaciach, ideach, sytuacyach.

To, co zrobił Rydel, robi zręczny majster sceniczny. Rydel dał rzecz „świąteczną“ dla tłumów niewykształconych, a ponieważ pisze pięknym językiem, przeto utwór jego jest bardzo użyteczny, potrzebny i wart nagrody.

Jako „sztuka świąteczna“ jest to rzecz doskonała. Pozwolę sobie natomiast położyć silny nacisk na rodzaj, za który go uwieńczono: albowiem bardzo poważni krytycy stawili Rydla bez zastrzeżeń w rzędzie współczesnych poetów i poetek niemal na pierwszem miejscu. Nie chodzi mi bynajmniej o Rydla, ale o poezyę współczesną, która piórem Konopnickiej, Tetmajera i wielu, wielu innych tworzy coś więcej, niż piękne wiersze, która nie abdykowała z idei i pomysłów i nie wyznaje teoryi „supremacyi słowa nad myślą.“ Chodzi mi o publiczność ukształconą, która na zasadzie podobnych relacyj mogłaby poezyę współczesną lekceważyć. Chodzi mi wreszcie o to, że współczesna krytyka zawodowa nie dorosła do stanowiska, jakie zajmuje, gdy nie umie odróżnić poetyckiego ananasa do laskowego orzecha.

Pod tym względem publiczność stała zawsze wyżej od naszej krytyki. Poeci wiedzą, że najlepiej zwracać się bezpośrednio do dusz, niebałamuconych żadnemi teoryami, do serc, które nie zatraciły instynktu piękna, że wszelkie reguły dorabia się do dzieł i że znając na wyrywki literaturę świata można być ślepcem na piękno. Jestem najgłębiej przekonany, że większość krytyków, stawiających nam dziś za wzór Mickiewicza i wielbiących jego geniusz, gdyby żyła za dni wieszcza, miotałaby na niego gromy łącznie z całą ówczesną prasą warszawską.

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ P. Chmielowskiego wyszedł tom 2.

POWIEŚCI. H. Sienkiewicz: „Pisma“ t. IX. Dodatek do *Tygodn. ilustr.*

— Hajota: „On i my,“ nowele (230 str., cena 1 rb.), Dubowski.

— J. Grajnert: „Kij żebraczy,“ powiastka dla ludu (56 str. — 15 kop.), Dubowski.

— W. Kosiakiewicz: „Hanka“ (108 str.), Centnerszwer.

— K. Junosza: „Żona z jarmarku“ (112 str.), Centnerszwer.

— W. Hugo: „Nędznicy,“ 10 tomów (1 rb. 80 kop.) Bukowiecki.

POEZYE. J. Hłasko: „Poezye (139 str.). Fiszer.

FILOZOFIA. H. Struve: „Anarchizm ducha u obcych i u nas“ (63 str.). Odbitka z *Bibl. Warsz.*

— W. M. Kozłowski: „Filozofia Schillera“ i wiersz „Artyści“ (54 str.). Łódź.

SOCYOLOGIA. Amerykańska Akademia nauk politycznych i społecznych w Filadelfii wydała w tłomaczeniu angielskiem „Zarys Socyologii“ prof. Ludwika Gumplowicza. Tłomaczenia dokonał Frederick W. Moore, profesor historyi i ekonomii politycznej przy uniwersytecie Vanderbilta w Nashville.

POEZYE

NA ZGORZELISKU [1]).

Na zgorzelisku stajem my
Drużyną do roboty —
Hej, gospodarzu, precz żal, łzy!
Już piły trą, grzmią młoty.
Siekiery dobre — w kuźni je
Kowal napuścił stalą.
Jak w boju, kędy szabla tnie,
Drzewa się rzędem walą.
Z obciętych wici smolna krew
Obficie złotem ścieka:
Toć buja rzucon w rolę siew,
Na schron jesienny czeka
Nim sierp zabrzęknie pośród pól,
Stodoły wznieść potrzeba,
A wejdzie gość, co goi ból,
Kościel nędz — kęs chleba.
Toż schron dla niego w naszych wsiach,
Jak kościół czczon po ninie;
I cześć odbiera cieślów fach,
A jak kapłański słynie.
Kaźń boża chodzi światem tym,
A w ślad jej — zmiłowanie:
Gdzie wicher rwał, gryzł, ogień, dym—
Wszedł cieśla — znów dach stanie.
Przeżegnał grunt, nakreślił plan —
„Kopcie!“ wzniósł czarkę—piją...
„Tu wkopiem słupy przyszłych ścian—
A niech na miejscu zgniją.“ [2])
  Hej jęczy puszcza — głuchy stuk
  Rozlega się za rzeką;
  Nad spadłem gniazdem kracze kruk,
  A młoty sieką — sieką...
  Cóż? Kto niejedną wieku ćwierć
  Na sprawy patrzał świata,
  Ten wie, że siostrą życia śmierć:
  Trup drzewa — ludzka chata.
  I człek i drzewo mają kres,
  Swą dolę w ziemskim bycie:
  Nasz śmiech wykwita z czyichś łez,
  Skon jednych—drugim życie.
  Smutno... Lecz blizki i nam czerw...
  Dom starców zajmie młody...
  Nim trumnę ciosać — chata wpierw—
  Walcie się, walcie kłody!
Opływa skronie bujny pot,
Aż odzież lgnie do ciała;
Trą piły, topór tnie, grzmi młot,
A słońce skwarem pała.
A kopacz stęka — och a och!
Żelazo dudni w dole;

[1]) Wiersz ten, osnuty przeważnie na rozmowach z robotnikami, odbija ich pojęcia i potrzebuje tłomaczenia wielu wyrazów, niezrozumiałych dla innych prowincyj.

[2]) Zwykłe życzenie ludu białoruskiego przy zakładaniu budowli: „Niech zgnije na miejscu“ — tj. niech stoi bez przygód tak długo, aż się w proch rozsypie.

Wzdłuż, wszerz a wgłąb wybija łoch,
A ścieka znój po czole.
I wiozą „szała“ [1]) — lasów łup —
Aż skrzypią mocne osie,
I stają w rząd za słupem słup,
W takt — przy komendy głosie.
„Oczepem“ [2]) cieśla, szybko spiesz
Uwieńczyć je potrójnie:
Toć ład a karność wszelkich rzesz
Stanowią moc i spójnię.
Stanęła oto, niby huf,
Sosnowych pni brać lśniąca!
Hej dzielnyż cieśla! Bogdaj zdrów
Swe dzieło wiódł bez końca!
Już środkiem, jak filarów las,
Kościelnej trybem sztuki,
„Soch“ [3]) par dwanaście rośnie wraz
Strzelnymi łączy łuki;
Lecz jeszcze myślą uznój skroń,
A czuwaj wciąż na straży,
Boć tu co chwila—Boże broń —
Życie się z śmiercią waży...
Wiązaniem okryć cały gmach
I spiętrzyć je do góry,
By na niem lekko spoczął dach
Wysoko pod lazury.
Zaciągnąć krokwie—to nie żart!
Tu się okaże snadnie
Moc, zwinność, spryt—kto czego wart
I jak swym fachem władnie.
Ni maszyn tu, ni dźwigni, lin.
Boć mnogie dni upłyną,
Nim się nauczy chłopski syn
Wspomagać dłoń maszyną.
„Jak będzie?“—„A ot jakoś tak...“
Konopny sznur, stal w pięści:
Na piersiach skreślić krzyża znak,
A tam — niech Pan Bóg szczęści.
A jeśli nagle komuś kloc
Padając łeb rozwali —
To cóż? Sądzono — boska moc —
Robota pójdzie dalej...
Nasz cieśla dzielny—jego krzyk
Prowadzi, siły dwoi.
Raz dwa! raz dwa! Ot rzekłbyś mig —
A już rząd krokwi stoi.
Obili łaty [4]), zwieźli gont,
Robotnik kłaść zaczyna,
Jak karpich łusk za rzędem rząd,
A wspina się, wciąż wspina...
Wciąż ku szczytowi pną się wzwyż,
„Wilczka“ [5]) wciągnęli społem;
Na obu jego końcach krzyż [6]) —
I — czołem przed nim, czołem!
Grosz może kupić ciężki trud
A pieniądz płacić znoje —
Lecz tu miłości dar dał lud —
Błogosławieństwo swoje...

Adam M—ski.

[1]) „Szała“ — gruba sztuka drzewa na słupy do osnucia ścian.

[2]) „Oczep“ — tram, w który się wpuszczają górne końce słupów ściennych; stanowią one, wraz z podwaliną, moc i związanie budynku. W wielkich budynkach dają takich tramów dwa i trzy wianki.

[3]) „Sochy“ — słupy stawiane parami wewnątrz stodół dla podparcia dachu; u góry mają one rozgałęzienia rozsochate.

[4]) „Łaty“ — długie żerdzie, przybijane do krokwi aby na nich kłaść gonty.

[5]) „Wilczek“ — zakończenie dachu; gdzie się schodzą dwa jego końce (górne), kładzie się długi kawał drzewa, łączący obie strony i zwany „wilczkiem“.

[6]) Doświadczywszy przed rokiem strasznej klęski pożaru, poznałem rzewny zwyczaj ludowy, na każdym kończącym się dachu robotnicy przybijali krzyżyki drewniane „na pamiątkę minionej biedy i na odwrócenie jej w przyszłości.“ Lud, dziś bardzo zepsuty, jest jednak dziwnie miłosierny w nieszczęściu, nie zna go, kto tego nie doświadczył; kto zaś doświadczył, kochać go nie przestanie. Krzyże dotąd pozostały.

W DALI.

Petersburg. Z powodu ogłoszonej nominacyi sekretarza stanu von Plewego na stanowisko pełniącego obowiązki ministra sekretarza stanu Wielkiego Księstwa Finlandzkiego, *Now. Wr.* pisze: „O ile sekretaryat stanu, kierowany przez Finlandczyków, przyczynił się do odosobnienia Finlandyi, o tyle obecnie, z rosyjskim działaczem państwowym na czele, będzie on, jak sądzimy, przyczyniał się do jej zjednoczenia, pod którem to mianem rozumiemy tylko zjednoczenie państwowe, gdyż Najwyższe Manifesty obdarzały Finlandyę samorządem wewnętrznym i ochraniają go. O zlaniu etnograficznem lub wynarodowieniu Finów nie może być nawet mowy. Konieczną jest tylko rzeczą zrównoważyć ścierające się często ze sobą miejscowe interesy Finlandyi z interesami ogólno-państwowymi. Administracya finlandzka obfituje niezmiernie w osoby i instytucye, ochraniające interesy kraju, gdy zarazem przedstawicielem potrzeb i wymagań rosyjskich jest tylko jeden generał-gubernator. Otoczeni zwartym pierścieniem instytucyj miejscowych, generał-gubernatorowie wystawieni byli na nierówną walkę. Przy tym ustroju niektórych instytucyj, jaki dano Finlandyi, głos jego niknął w chórze całego szeregu instytucyj kolegialnych: sejmu, senatu, dawnego komitetu przy sekretaryacie stanu itd. Obecnie, po zamianowaniu na urząd ministra sekretarza stanu dygnitarza rosyjskiego, obdarzonego nadto wielkiem doświadczeniem państwowem, szerokością poglądów, głęboką wiedzą prawniczą i stanowczością charakteru, generał-gubernator zyskuje w sprawach ogólno państwowych takiego sprzymierzeńca, który nie pozwoli jego głosowi przebrzmieć bezowocnie wśród innych głosów i zdań; wszystko będzie teraz ważone i postawione na właściwem miejscu; ogólne interesy państwa staną po nad potrzebami miejscowemi jego pogranicza.“

Witebsk. Kapitaliści zagraniczni, którzy zawsze są czujni i posiadają wzrok orli, zbadali stosunki miejscowe i zawiązali rosyjsko-bałtyckie Towarzystwo przędzenia lnu z kapitałem 6 milionów franków. Siedziba Towarzystwa jest w Gandawie. Przedsiębiorstwo ma olbrzymie widoki powodzenia i nie jest obojętne dla przemysłu Królestwa Polskiego. Gubernie: Witebska, Mohylowska i Smoleńska uprawiają na wielką skalę len, który dotychczas w stanie surowym wywożono za granicę przez port ryski, a następnie sprowadzano wytworzoną z tego produktu przędzę. Tym sposobem spożywcy musieli ponosić koszty niepotrzebne: cło i opłatę transportową w obie strony. Teraz stosunki znacznie się zmienią. Nowa fabryka na razie jest obliczona na 15,000 wrzecion i 1,600 robotników. Produkcya pochłonie rocznie około 400 tysięcy pudów lnu. Fabryka wykończona obecnie, będzie czynna już w listopadzie. Przędzalnie w Królestwie Polskiem będą mogły taniej, niż dotychczas, otrzymywać przędzę. Podobno fabryka ma dawać pierwszeństwo fachowcom krajowym. O ile to prawda, warta jest zaznaczenia uprzejmość ekonomiczna cudzoziemców, a może tylko przezorność wobec przewidywanych w przyszłości ograniczeń prawnych co do obcokrajowców.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Jak zapewnia *Słowo*, 20 księgarzy i wydawców udało się z Warszawy do petersburskiego Towarzystwa księgarzy i wydawców z prośbą o założenie oddziału tej instytucyi w Warszawie.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Towarzystwa pożyczkowo-wkładowego w Koninie.

— W całem państwie rosyjskiem jest obecnie około 200 kobiet, pracujących w aptekarstwie; z tych jedna zdała egzamin na stopień magistra.

— Jako uzupełnienie artykułu p. t. „Z powodu katastrofy,“ możemy dodać, iż ministeryum komunikacyj, dla bezpieczeństwa publicznego, postanowiło zwiększyć skład osobowy w dziale służby ruchu na kolejach żelaznych.

Na Pogotowie ratunkowe odbyła się „zabawa“ z loteryą fantową w ogrodzie Saskim. Rezultat materyalny bardzo pomyślny, gdyż ze sprzedaży biletów wejściowych i loteryjnych otrzymano przeszło 12,000 rb. Szkoda tylko, że nie umiano dobrze zorganizować tej zabawy. Zamiast zawczasu rozdać bilety do sprzedania w różnych sklepach, jak się to czyni na koncerty, urządzono cztery kasy przy bramach ogrodowych i otwarto je dopiero przed samem rozpoczęciem zabawy. Oczywiście był tłok niesłychany, masy ludzi, gwałtownie popychane, dostawały się do ogrodu bezpłatnie. Lekarze, umiejący tak dokładnie obliczać energię i siłę ludzką, nie obliczyli, ile czasu trzeba na sprzedaż kilkudziesięciu tysięcy biletów i wydanie reszty kupującym. Tę pracę pospieszną, jaką zadano czterem ludziom, mógłby wykonać tylko maszyna parowa.

Szkoły. Wkrótce rozstrzygnięty będzie projekt obowiązkowego urządzenia szkół technicznych niższych, bezpłatnych w fabrykach, liczących przeszło 1,200 robotników.

— Nauczyciele szkół ludowych w okręgu warszawskim otrzymali okólnik dyrekcyi naukowej wraz z nowym planem nauk, w którym liczbę godzin, przeznaczonych na lekcye języka polskiego, powiększono z 3 do 6 tygodniowo. Skutkiem tego zajęcia szkolne w niektóre dnie trwać będą od godz. 8 rano do 4 po połud.

— Ministeryum oświaty wszczęło sprawę urządzenia w Olkuszu niższej szkoły rzemieślniczej kosztem skarbu i miasta. Pierwsze daje rocznie 1,770 rb., drugie 1,000. Nadto na budowę gmachu wyznaczono fundusz jednorazowy 16,500 rb. i na opatrzenie szkoły 4,000 rb. Szkoła ta jest bardzo potrzebna ze względu na rozwój przemysłu górniczego. Do specyalnych przedmiotów szkolnych zaliczono ślusarstwo, kowalstwo, stolarstwo i tokarstwo. Sprawę [illegible] wnia *Torg. prom. gaz.*, już wniesiono do Rady państwa.

Konkurs. Rozstrzygnięto konkurs *Gazety Cukrowniczej* na najlepsze opracowanie jednego z dwunastu tematów z zakresu techniki cukrowniczej. Pierwszą nagrodę (200 rb.) przyznano p. L. Pannence za pracę p. t. „Rola kwasowości soków w procesie fabrykacyi,“ drugą (100 rb.) p. Ludwikowi Izyferowi z Oryszewa za „Doświadczenia nad gruntownem oczyszczaniem soku dyfuzyjnego.“

Wystawy i zjazdy. Zjazd rolników - mleczarzy w Petersburgu uchwalił wnioski następujące: 1) należy tworzyć związki wytwórców i spółek nabiałowych, celem ułatwienia i udoskonalenia wyrobów mleczarskich; 2) związki handlowe z tychże żywiołów dla handlu nabiałowego; 3) giełdy nabiałowe w rozmaitych miejscowościach państwa; 4) zwoływać zjazdy peryodyczne w sprawach gospodarstw nabiałowych ze stałem biurem zjazdów w Petersburgu lub Moskwie; 5) wydawać czasopisma, poświęcone wyłącznie gospodarstwom nabiałowym i handlowi nabiałowemu; 6) popierać stacyę bakteryologiczną moskiewskiego Towarzystwa aklimatyzacyi i rozszerzyć także stacyę komitetu naukowego ministeryum rolnictwa; 7) wyjednać kredyt skarbowy dla miast na urządzenie składów do przechowywania produktów, ulegających łatwo zepsuciu. Zjazd ma popierać urzeczywistnienie tych wniosków w kołach rządowych.

— Zjazd lekarzy kolejowych w Warszawie rozpocznie się 20 listopada.

— W Bagateli warszawskiej odbył się jarmark na owce.

— W r. 1902 odbędzie się w Petersburgu międzynarodowy zjazd ginekologów i akuszerek.

— W Kaliszu odbyła się wystawa koni jednoczenie [illegible]

— Zamknięto siódmy międzynarodowy kongres geografów. Powzięto następujące uchwały: Wybrano komisyę międzynarodową dla organizacyi badań magnetyczno-meteorologicznych przy wyprawie do bieguna południowego. Polecono powszechne zastosowanie w nauce miar i wag metrycznych, utrzymanie wymiaru stopni geograficznych; uchwalono założenie międzynarodowego Towarzystwa kosmologicznego i ustanowienie komisyi do badania [illegible]

Koleje i komunikacye. Właściciel folwarku Szklary w pow. Olkuskim, p. Gordon, stara się o prawo budowy kolei wązkotorowej od Olkusza przez wsie Krzeszniicę i Jerzmanowice do Ojcowa.

Przemysł i handel. W Noworadomsku zawiązało się Towarzystwo wzajemnego kredytu.

— Departament rolnictwa zatwierdził projekt maślarni wzorowych ruchomych, których zadaniem będzie zaznajamiać ludność wiejską z ulepszonymi sposobami wyrobu masła.

— W Petersburgu rozpoczyna działalność „centralne biuro wywiadowcze" w sprawach handlowych, dotyczących krajów azyatyckich, z którymi handel rosyjski pozostaje w stosunkach. Biuro, jak donosi *Syn ot.*, otwiera swoje oddziały najpierw w Moskwie i Niższym Nowogrodzie, później zaś w Warszawie, Odesie, Kijowie i Rydze. W Azyi środkowej utrzymywać będzie własnych przedstawicieli i agentów.

Zmarli. Włodzimierz Plaskowski, w Warszawie, utalentowany humorysta były redaktor *Kuryera świątecznego*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani R. W. w Sz. Dziesięć dynarów „dla Polki kształcącej się za granicą" otrzymaliśmy od Pani, ale 1) nie możemy ich zmienić. 2) nie wiemy, komu je oddać. Dlatego wstrzymywaliśmy się z ogłoszeniem.

Pana W. M. w Darmsztadzie. Pieniądze przekazem odebraliśmy.

Dzieło dr. J. Dallemagne'a

Człowiek zwyrodniały,

*które dołączaliśmy zeszytami w dodatkach **Prawdy**, wyszło w osobnej książce. Cena ogromnego tomu (742 str.) wynosi tylko dwa ruble bez przesyłki.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 1 Октября 1899 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.